1347

Z Księgozbioru Bolesława Prusa

1903. MARZEC

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

Dodatek popularno-naukowy

(BEZPŁATNY).

Fakty i przypiski.

Szkice Herberta Spencera.

XI.

O dziedziczności.

Przypowieść o źdźble i belce znajduje zastosowanie zarówno w nauce, jak i w każdej innej dziedzinie. Charakterystycznym przykładem tego jest spór neo-darwinistów z neo-lamarkistami, o ile można użyć obu tych, zazwyczaj nie używanych, ale w danym wydadku odpowiednich nazw. W sporze swoim w kwestyi wystarczania doboru naturalnego, żądają stronnicy szkoły Weismana, od przeciwników swoich przytoczenia faktów (rozmyślnie przy tem ignorując różne, zupełnie wyraźne fakty). Wyznawcy teoryi dziedziczności cech mieliby zupełne prawo odpowiedzieć takiem samem pytaniem: „A gdzież są wasze fakty? Jeśli jedni żądają dowodów indukcyjnych, wnioskowania na zasadzie doświadczeń o prawach i przyczy-

nach ogólnych, to i drudzy mogą żądać takich samych dowodów; takich zaś dowodów doboru naturalnego niema zupełnie. Oczywistość rezultatów doboru sztucznego jest zdumiewająca, dobór zaś naturalny wyraźnych wyników jeszcze nie dał. Natura nie może dobierać, jak to czyni hodowca, którego celem jest spotęgowanie i udoskonalenie jakiejś poszczególnej cechy,— może ona tylko łączyć takie osobniki, które dzięki całokształtowi swoich cech, najbardziej nadają się do utrzymania gatunku. O dowodach indukcyjnych nie może być wcale mowy, dopóki nie będzie dowiedzionem pochodzenie danego gatunku drogą doboru naturalnego. Z drugiej zaś strony, istnieją już pewne dowody dziedziczności cech. A jednak neo-darwiniści wciąż mówią do neo-lamarkistów: „gdzież są wasze fakty“?

Spór ten żywą jest ilustracyą faktu, jak dobrze ludzie widzą braki hypotez strony przeciwnej, nie dostrzegają zaś braków hypotez własnych. Doktryna dziedziczności cech odrzucaną jest na zasadzie niemożności „uchwycenia dróg“, jakiemi zmiana, która zaszła w organizmie, może wytworzyć odpowiednią zmianę w zarodku. Wprost odwrotna jednak hypoteza przyjmowaną bywa pomimo tej samej niemożliwości, która, naturalnie, w danym wypadku nietylko nie jest mniejsza, ale może znacznie nawet większa. O ile pogląd Weismana jest słuszny, pióro z ogona pawia zawiera przeszło 300,000 określników (determinants). Pomnóżcie liczbę tę przez liczbę piór i dodajcie do tego pióra całego ciała, a wtedy zrozumicie, ile musi być określników w jednej mikroskopijnej komórce.

Następnie wyobraźcie sobie, że w czasie rozwoju tej komórki, każdy określnik znajduje sobie drogę do tego właśnie miejsca, na którem powinien znajdować się. „Uchwycenie dróg“, jakiemi to wszystko może się odby-

wać, nie jest oczywiście zadaniem ani trochę łatwiejszem, jeżeli nie trudniejszem.

Zatrzymałem się względnie długo przy wstępnych tych wyjaśnieniach, są one bowiem niezbędne do lepszego zrozumienia tego, co nastąpi. Natura daje nam pewne zjawiska, dowodzące, że procesy budowy mogą być dziełem niewidzialnych czynników, jakkolwiek sposób, w jaki one działają, pozostaje nieuchwytny. Dwa pokrewne przykłady dostatecznie to wyjaśnią.

Piękno kryształów śniegu wzbudzało nieraz podziw, niewielu jednak ludzi zadawało sobie pytanie, czemu należy przypisać dziwną przypadkowość ich form. Jakkolwiek formy kryształów tych nieskończenie są rozmaite, wszystkie jednak układy należą do typu sześciobocznego i bezwarunkowo są symetryczne. Jeśli w jakimkolwiek punkcie jeden z ich promieni rozgałęzia się w jedną stronę, to z tego samego punktu wychodzi takie same rozgałęzienie w kierunku przeciwnym i w każdym promieniu skupienia znajdują się podobne pary rozgałęzień. Jeśli z jakiegokolwiek punktu wychodzą rozgałęzienia złożone, to takie same złożone rozgałęzienia wychodzić bądą ze wszystkich odpowiadających pierwszemu punktów. W jaki więc sposób tworzy się taka symetrya? Zjawisko to możemy sobie wytłomaczyć jedynie na zasadzie przypuszczenia, że podczas powolnego przechodzenia śnieżnego kryształka przez górne warstwy powietrza, napełnione parą wodną, przyrastaniu cząsteczek wody do jednego punktu, towarzyszy natychmiastowe przyrastanie takich samych cząsteczek do wszystkich odpowiadających punktów, co ma miejsce wskutek powstrzymującej siły całego skupienia. Twierdzą, że proces ten zachodzi wskutek zmiany fizycznych własności promieni światła przy przejściu przez

niektóre ciała przezroczyste, czyli wskutek tak zwanej polaryzacyi, o czynniku tym nic jednak nie wiemy. Procesy przyrastania cząsteczek, dzięki którym tworzą się prześliczne te kryształki, zupełnie są nieuchwytne.

Przejdźmy teraz do innego, jeszcze bardziej zdumiewającego i bardzo zbliżonego zjawiska. Każdemu z nas zdarzyło się niejednokrotnie obserwować na oknach sypialni podczas tęgiego mrozu cieniutką warstwę, skrystalizowanej na wewnętrznej stronie szyb, wody; każdy zachwycał się rozgałęzionemi na wzór liści deseniami, prawdopodobnie jednak, niewielu zadawało sobie pytanie, w jaki sposób tworzą się zarysy tych form. Profesor T. H. Boney, daje w piśmie „Nature“ (7 lutego 1901 r.) zdumiewający opis takich deseni, obserwowanych nie na oknach, ale na chodniku: „Tworzą one różne skupienia, na wzór żeberek nawpół rozwartego wachlarza; średnica wielu grup dochodzi do $^1/_2$ yarda i składa się z pięknie powyginanych liściastych pęczków promieni, splecionych z cieniutkich niteczek lub szpilkowatych kryształków (do 4-ch cali długości i grubości podwójnej szpilki); to stałe prawie wygięcie deseni stanowi charakterystyczną ich cechę. Podobne są one do delikatnych wodorostów, wysuszonych i ułożonych na papierze w postaci grupy dekoracyjnej“.

Rozpatrując czynniki, tworzące takie zestawienia, musimy dojść do wniosku, że krystalizacya każdej pojedynczej cząstki, tworzy się pod wpływem krystalizacyi wszystkich pozostałych części. Gdyby skupienie cząsteczek wody w kryształki odbywało się zupełnie niezależnie, w każdym punkcie oddzielnie, nie mogłoby mieć miejsca to podporządkowanie części całokształtowi, wytwarzające symetryczną liściastą budowę. Przypuścić należy, że—pod-

czas procesu tworzenia się—całe skupienie kryształów zatrzymuje cząsteczki na określonych ich miejscach, one zaś z kolei łączą się z pozostałemi, zatrzymując następne. O ile z jednej strony niepodobna negować stałego tego podporządkowania części-całokształtowi, o tyle z drugiej znów strony, nie jesteśmy w stanie „uchwycić dróg“, któremi kroczą zdumiewające te budowlane procesy. Fakt został dokonany; niepodobna jednak wyobrazić sobie, w jaki stało się to sposób.

Stosunek przytoczonych zjawisk do prawa dziedziczności — jest oczywisty. Dowodzą nam one, że jakkolwiek niepodobna zrozumieć, w jaki sposób zmiany układu jakiejś części organizmu mogą wpływać na komórki nasienne i zarodkowe, w sensie udzielania ich produktowi skłonności do ulegania odpowiednim zmianom, przypuszczenie jednak możliwości istnienia takiego wpływu, nie będzie niedorzecznem. Jeśli nawet niepodobna wyobrazić sobie działania sił, dzięki którym ma miejsce ten wzajemny stosunek, nie możemy jednak na tej zasadzie twierdzić, jak to widzieliśmy wyżej, że podobne działanie sił wcale nie istnieje.

W rzeczy samej, jeśli przypomnimy sobie, jak bardzo przyczyniły się zdobycze molekularnej fizyki do rozwoju naszych pojęć o najrozmaitszych zjawiskach i procesach, zrozumiemy, że hypoteza dziedziczności cech niezupełnie odbiega od istotnego stanu rzeczy. Obecnie, kiedy fale elektryczne komunikują bez drutu sygnały — na odległość tysięcy mil, kiedy promienie roentgenowskie przeświecają różne nieprzejrzyste przedmioty, kiedy zrobiono odkrycie, że sole uranu—oraz inne ciała—wyłaniają szczególne promienie, posiadające własność udzielania innym ciałom podobnej własności promieniowania; obecnie, kiedy przekonywamy się, że po za drganiem cząsteczek, tworzącem

ciepło, cząsteczki twardych ciał wprowadzane zostają same i wprawiają pozostałe w innego rodzaju drganie — możemy przypuścić, że zjawiska molekularne, przenikające żywe organizmy, przechodzą nasze pojęcia. Prawdopodobnie każda grupa cząsteczek, stanowiących ustrojową jednostkę organizmu, jest środowiskiem, z którego promieniują fale, wytwarzane przez pojedyńcze liczne jego cząsteczki; fale te, rozlewają się po całym organizmie, oddziaływają na odpowiednie cząsteczki innych jednostek, dążą do wytwarzania jednakowych drgań i podobnych układów. Możemy wnioskować, że przytoczony powyżej proces zachodzi bezustannie, przy czem całe skupienie utrzymuje w harmonijnym układzie wszystkie drobne, cząsteczkowe, składające się na nie, skupienia, każde zaś z tych ostatnich przyjmuje udział w zmianie, zachodzącej w całości Tym sposobem, wszelka miejscowa zmiana budowy staje się powodem zmiany, zachodzącej we wszystkich ustrojowych jednostkach organizmu, tem samem więc i w tych, które zawarte są w komórkach nasiennych i zarodkowych. Po za tem, jeżeli istnieje krążenie protoplazmy, jak mówiłem już dawniej („Zasady biologii“, §§ 54 d, 97 f.) w takim razie powszechna taka asymilacya cech, w znacznym stopniu jest ułatwiona. Niezależnie jednak od tego, czy ma to miejsce, czy nie, zjawiska powyżej opisane dowodzą wyraźnie, że niemożliwość „pochwycenia dróg“, jakiemi nabyte cechy odtwarzają się na elementach wytwórczych, nie jest jeszcze dostatecznym powodem do twierdzenia, że fakt ten nie jest możliwym.

Dodam tylko, że możnaby w prostszy jeszcze i logiczniejszy sposób zbić dowodzenia neo-darwinistów przeciwko teoryi dziedziczności cech. Huygens zbijał prawo ciążenia. Na jakiej czynił to zasadzie? Dowodził on, że

teorya ta nie daje się wyjaśnić na podstawie żadnych praw mechaniki, to znaczy, że nie mógł „pochwycić dróg“, jakiemi ma miejsce wzajemne przyciąganie ciał. Pomimo to jednak, prawo ciążenia stwierdziły niezbite fakty, to też przyjęte ono zostało i uznane przez cały świat.

Wszystko, co powiedziałem tutaj, powinnoby być pomieszczone w „Zasadach biologii“, ponieważ jednak ostatnie, przejrzane przezemnie wydanie, wyszło w 1899 roku, a nie przewiduję możliwości ponownego przejrzenia następnego jeszcze wydania, postanowiłem pomieścić pracę niniejszą w tym tomie.

XII.

Kilka powodów do ubolewań.

W pewnym artykule, który, nawiasem powiedziawszy, przytoczył niegdyś Ruskin, wyrażając się o nim z wielkiem uznaniem, znalazłem zdanie następujące: „Wszystkie usiłowania w sprawach wychowawczych będą nadaremne, dopóki nie nauczycie uczniów waszych kochać pola, ptaki i kwiaty“. Zwracając uwagę, że żadne nauczanie nie jest w stanie zrodzić takiej miłości, dodam jeszcze, że całokształt życia nie da się pomieścić w ramach miłości dla natury. Dodatek ten uzupełniam zarazem pytaniem: „Cóż należy myśleć o doktorze Johnson'ie?“ Jakkolwiek był on pozbawiony bezwarunkowo zmysłu odczuwania piękności natury, niewielu jednak ośmieliłoby się twierdzić że jego system wychowawczy nic nie był wart. W przytoczonym powy-

żej zdaniu trafiamy przypadkowo na jeden z licznych krańcowych poglądów, cechujących utwory Ruskina.

Ze zdaniem, wypowiedzianem przez Ruskina, godzi się do pewnego stopnia wielu ludzi, ja zaś podzielam jego pogląd w bardzo szerokim zakresie. Podróżując wśród gór Szkocyi, myślałem z przyjemnością, że stoki ich nigdy nie mogą być zaorane; tutaj, nareszcie, natura nie zostanie nigdy ujarzmioną. Jakkolwiek słaby dźwięk dzwoneczków w stadzie owiec i tu świadczy o podporządkowaniu natury potrzebom człowieka, nie wpływa tu bynajmniej na skażenie poezyi krajobrazu, raczej potęguje ją. W miejscowościach podobnych zapomina się na chwilę o prozaicznych dążeniach cywilizacyi.

Nie znoszę sposobu pojmowania postępu socyalnego, który stawia sobie za zadanie przyrost ludności, gromadzenie bogactw, rozszerzanie handlu. Polityko-ekonomiczny ideał bytu ludzkiego uwzględnia jedynie ilość, a nie jakość. Zamiast olbrzymiej sumy życia typu niższego, wolałbym widzieć połowę jej, ale należącą do typu wyższego. Dobrobyt, zapisywany na stronicach ksiąg handlowych, z corocznie roznącemi sumami, jest w znacznej mierze nietyle wyrazem dobrobytu, ile wprost odwrotnie—nędzy. Zbogacanie masy ludzi, których byt zależnym jest od materyalnego rozwoju, powinno raczej być źródłem ubolewania, niż uciechy. Uważamy ustrój naszego życia społecznego, który właściwie każe nam pracować dzisiaj po to, aby mieć możność pracowania jutro—za formę bytu zupełnie zadawalającą i dążymy do szerzenia jej na całej kuli ziemskiej, potępiając swobodne życie bez trosk tych narodów, które uważamy za nieucywilizowane. Pieszczony przez nas ideał, jest ideałem przejściowym, odpowiadającym może tylko jednej fazie rozwoju ludzkości, epoce, w której

pokolenia obecne poświęcane są w imię ulżenia doli pokoleń przyszłych. Ziemia, na której miarą naszego postępu jest rozwój przemysłu fabryczno-rękodzielniczego, oraz tworzenie się osad, podobnych „Czarnej krainie“, — wyglądającej tak, jak gdyby zalało ją najście kominiarzy, — jest ziemią, z której należy jak najszybciej umykać. Miejscowości tego rodzaju stały się pod wieloma względami bezporównania gorszemi, aniżeli były dawniej i dalekie są od ideału, jaki pragniemy osiągnąć w przyszłości. Jednym z ujemnych wyników przytoczonego powyżej poglądu jest niebezpieczeństwo wyginięcia pozostałych jeszcze śladów życia, które jakkolwiek było bardziej proste i mniej wysubtelnione, pozostawia jednak ludziom większą swobodę ruchów. To ustępowanie dawnych form na rzecz nowych rzuca mi się zawsze w oczy, ilekroć bywam latem na wsi, — i bardziej jeszcze potęguje mój żal. Pewna Amerykanka, która mieszkała przez jakiś czas w Anglii, wyraziła zdanie, że nie warto żyć w kraju, gdzie niema ruin, starożytnych zamków i klasztorów. Zupełnie rozumiałem jej uczucia i pod wieloma względami zgadzam się z nią. Jakkolwiek jestem człowiekiem zupełnie współczesnym, i mało mam uznania dla przestarzałych idei oraz form, pomimo to sprawia mi największą przyjemność oglądanie resztek minionej przeszłości; bynajmniej jednak nie ze względu na historyczne ich znaczenie. Kiedy przewodnik, oprowadzający mnie po jakiejś siarożytnej siedzibie, zaczyna swoje zwykłe o niej opowiadanie, w którem legenda i prawda walczą z sobą o lepsze, powstrzymuję go odrazu. Nie lubię, gdy mi psuje wrażenie, jakie wywierają na mnie wspomnienia czasów minionych, i nie pozwala mi roskoszować się w całej pełni pięknym wi-

dokiem nawpółrozwalonych murów, baszt i sklepień, których ruina czyni je bardziej jeszcze malowniczemi. To samo też odczuwam przy zetknięciu się z życiem wiejskiem, zanikającem szybko w miarę rozwoju i rosnącej potęgi miast, których mieszkańcy oraz idee wychodzą zwycięzko z walki ze wsią.

Zarówno jak w licznych, zdobytych przez nas ziemiach, gdzie plemiona tubylcze zostają przez nas „cywilizowane“, tak i we własnym naszym kraju, postępy „cywilizacyi“ z roku na rok niszczą coraz większą ilość szczegółów, czyniących kraj ten powabnym. W zachodniej części South Downs, gdzie spędziłem ubiegły sezon, zachwycałem się podczas codziennych moich konnych spacerów pięknem, jakiego nie ujrzy już przyszłe pokolenie. Wysokie płoty z łoziny, porośnięte pryszczeńcem, mchem i dzikim chmielem, płoty, które zajmują dużo miejsca i rzucają wydłużone cienie, nie są już obecnie w użyciu u dobrych wiejskich gospodarzy. Coraz mniej też widać wzdłuż gościńców szerokich szmatów ziemi, usianych trawą i polnemi kwiatami, oraz krętych ścieżynek pomiędzy płotami, gdzie nad głęboko zoraną bruzdą zielenią się kopuły, utworzone ze splątanych gałęzi drzew, przez których gęstwinę przedostają się gdzieniegdzie złote promienie słońca. Wszystko to skazane jest na zagładę, i wkrótce ustąpi miejsce drewnianym lub drucianym płotom, lub też karłowatym nizko przystrzyżonym szpalerom. Słomą poszyte dachy wiejskich nawpółdrewnianych domków, są już coraz większą rzadkością; wyrugowały je dachówki lub tektura smołowcowa. Istnieje jeszcze jedna, zanikająca stopniowo cecha charakterystyczna wsi takiej, jaką pamiętam z czasów mojej młodości: tam, gdzie strumyk przerzynał drogę, dwie deski z barjerką stanowiły

kładkę dla pieszych, konie zaś, furmanki i powozy przejeżdżały rzeki w bród, co bywało niewygodnem tylko podczas rozlewu tych rzek. Obecnie jednak członkowie „Rady hrabstw“, pragnąc zyskać popularność projektami „robót gminnych“, przerabiają stopniowo prymitywne te kładki na kamienne lub żelazne mosty. Tam tylko, gdzie ścieżynka wśród pola napotyka na swej drodze wąziuchny strumyczek, można będzie jeszcze, przechyliwszy się przez poręcz, obserwować drobne rybki, wysuwające się ostrożnie ze swych kryjówek i uciekające na widok waszego cienia.

Powoli giną różne dawne obyczaje i dawne typy. Trudno już teraz spotkać zbieraczy kłosów, a w wielu miejscowościach istnieje nawet zakaz zbierania grzybów. Przechodząc zimą obok gumna, nie usłyszycie już stuku cepów, a w jasny lipcowy poranek, rzadko kiedy zbudzi was już brzęk ostrzonych kos, dźwięk może niemiły sam przez się, ale czarujący, dzięki obrazom, jakie wywołuje w naszej duszy.

Pod pewnemi względami możemy zazdrościć przyszłym pokoleniom, pod innemi — żałować ich. Zanikanie resztek śladów dawnych form życia, malowniczych zarówno ze względu na swą istotę, jak i dzięki kojarzącym się z niemi wyobrażeniom, pozbawi nasze dzieci i wnuki masy poezyi, która teraz krasi prozę bytu. Wszędzie i we wszystkiem dzieje się tak samo. Koleje żelazne, parowce i nastawiane na brzegu Nilu olbrzymie hotele, upodobniły Egipt Europie i wkrótce przestanie on zupełnie wzruszać nas i zachwycać swojemi zabytkami zamierzchłych wieków. Współczesny Rzym zatraca wszelkie cechy tego nawet Rzymu, jaki istniał przed 50-ma laty, a wszędzie

dokoła nas romantyczność przeszłości ustępuje miejsca jednostajnej, szarej i nudnej rzeczywistości doby współczesnej. Zapewnie, że i my zostawimy także przyszłym pokoleniom ślady naszej cywilizacyi; rzeczą jest jednak wielce wątpliwem, czy będą óne tak samo zajmujące, jak te, jakie pozostawiły nam wieki ubiegłe.

XIII.

Nieświadomy rozwój.

Zrobiłem kiedyś interesujące spostrzeżenie, że dopóki zło jakieś bardzo jest wielkie, ściąga ono na siebie w małym stopniu uwagę ogółu lub nawet przechodzi zupełnie bez wrażenia; kiedy jednak z tego lub owego powodu, zaczyna ono maleć, wówczas ludzie zwracają na nie uwagę i usiłują wpływać na osłabienie go. Gdy nareszcie zmalało ono w znacznym stopniu, zewsząd dają się słyszeć głosy, domagające się ostrego przeciwko niemu wystąpienia, i doszczętnego jego wytępienia. — Kiedy środki naturalne dokonały tak wiele, budzi się gwałtowna potrzeba i żądanie zastosowania środków sztucznych.

Jednym z przykładów, wówczas przezemnie przytoczonych, było znaczne zmniejszenie się pijaństwa, zaczynając od XVIII st., poczem wystąpiło głośne domaganie się wydania ustawy, mającej na celu zupełne jego zniesienie. Pomysł tego przykładu zawdzięczam pewnemu mojemu odkryciu, które mnie przekonało, jak dalece nieumiarkowanymi byli nasi pradziadowie. W pewnej seryi parafialnych pamiętników, na półkach bibliotecznych starego wiejskiego dworu, znalazłem wyjątki z dziennika niejakiegoś Tomasza Toorner'a, kupca w jednej ze wsi, położonych w hrabstwie Sussex.

Dziennik jego wskaznje, że był on miłośnikiem literatury i człowiekiem wierzącym. Kompilator mówi o nim: „Jeśli nie pił zawiele w sobotę, chodził w niedzielę do kościoła i zawsze wygłaszał swój sąd o kazaniu. Pomimo to, że był bardzo słaby na punkcie wstrzemięźliwości, nie był jednak pod tym względem o wiele gorszy od swoich sąsiadów. Czy schodzili się oni w celu omawiania interesów, czy też dla przyjemności,—zwykły wynik był taki, że cała kompania rozchodziła się w stanie podchmielonym“. A dalej spowiedź samego Toorner'a: „Kwiecień 21, 1756 r. Byłem na wypłatach i wróciłem do domu pijany“, Listopad, 25. Ksiądz z Lowton przyszedł do sklepu i został przez cały dzień, wreszcie zaczął pić, ja zaś, chcąc być gościnnym, dotrzymywałem mu towarzystwa i także zupełnia się upiłem. Towarzystwo, składające się z 15-u ludzi, wraz z wikarym, panem Porterem i jego żoną, zeszło się o 4-tej po południu. Po kolacyi „pito przez cały czas tak szybko, jak tylko można było łykać“. O godzinie trzeciej rano idzie on do domu i nawet „nie zatacza się“. Żonę jego sprowadzają do domu w dwie godziny później. Na propozycyę żony wikarego, pijatyka wznawia się nazajutrz z samego rana. W niedzielę „słuchaliśmy pięknego kazania, wikarego przeciwko przysiędze“. Po kilku dniach to samo towarzystwo schodzi się u wikarego. „Znów piliśmy, — mówi on,—jak konie i piliśmy tak długo, dopóki większość była w stanie utrzymać się na nogach“.

Następujący wyjątek dowodzi wyraźnie, jaką towarzyską sankcyą — że nie wyrażę się silniej — uświęcone były podobne obyczaje. Mówiąc o zaproszeniu przezeń otrzymanem, pisze autor pamiętnika: „Jeżeli pójdę, będę zmuszony pić tyle, ile im się spodoba, w przeciwnym razie nazwą mnie marnym, nędznym dziwakiem. Jeżeli pozostanę

w domu, zyskam miano marnego, dumnego, złego próżniaka". Postanawia więc pójść. „Gdy wyszedłem, nie było ani jednego trzeźwego człowieka w całem towarzystwie. — Inny osobnik, niejaki pan Walter Gaine, szkolny nauczyciel, czyni w dzienniku swoim podobne zwierzenia, a cały szereg różnych szczegołów wskazuje, że w całem towarzystwie rozpowszechnione były podobnie demoralizujące obyczaje.

Wskutek tego wierzyć można, w wiarogodność niektórych ustępów z „Podróży na Hebrydy", które w przeciwnym razie wydawałyby się zupełnie nieprawdopodobnemi.

„Dr. Johnson zrobił spostrzeżenie, że obecne pokolenie pije mniej od swoich poprzedników, dla tego, że pijemy wino zamiast pale-ale'u. „Pamiętam, — mówi on—te czasy, kiedy wszyscy przyzwoici ludzie w Leekefieldzie upijali się co wieczór i stosunki ich z innymi ludźmi nic na tem nie cierpiały". Jakkolwiek staralibyśmy się złagodzić ten fakt, musimy przyznać jednak, że pijaństwo było w ogóle niezmiernie rozpowszechnione.

Cóż więc wpłynęło na zmianę, jaka zaszła od tego czasu? Ani przepisy prawa, ani surowe środki represyjne, ani przymus osobisty. Zwrot ku lepszemu dokonywał się stopniowo, dzięki przyczynom naturalnym, jednocześnie z rozwojem innych społecznych prądów. Vis medicatrix naturae wywarła swój wpływ, ale ten pouczający przykład, jak również inne nie mniej pouczające i poważne objawy, z których podobne dadzą się wysnuć wnioski, zupełnie nie jest brany pod uwagę przez naszych działaczy. Bez względu na fakty, stwierdzające milion razy, że proces ewolucyi jest wynikiem codziennego życia ludzkiego, niepodobna przekonać działaczy społecznych o tym pewniku.

Domy mieszkalne, umeblowanie ich, odzież, paliwo

pokarmy — wszystko to jest wynikiem bezwiednej działalności współobywateli, czyniących zadość wzajemnym swoim potrzebom. Pola i łąki, uprawne obecnie, zajmują szmaty ziemi, ongi pokryte błotem i trzęsawiskami, a potem, dzięki przedsiębiorczości prywatnych ludzi, przeistoczone na żyzny grunt. Drogi podjazdowe, koleje żelazne, pociągi, telegrafy, wszystko to są wytwory połączonych wysiłków, jakie zrodziło dążenie do bogacenia się. Miasta i wsie, jakie przeprzerzynają one, mają możność wysyłania w świat nadmiaru produktów prywatnej wytwórczości. Okręgi, zajęte przez przedstawicieli tego lub owego rodzaju przemysłu, zaludnione były przez ludzi, którzy szukali wprost środków do życia. Olbrzymie związki handlowo z ogromnemi składami towarów i sklepami, w jakich dokonywaną jest sprzedaż detaliczna i jakiemi obsiane są z obu stron ulice; organizacye, mające za cel rozpowszechnianie po całym świecie najrozmaitszych przedmiotów, zostały stworzone bez określonych i obmyślonych z góry przez kogokolwiekbądź planów. Wielkie i małe miasta handlowe stały się ogniskami peryodycznej wymiany, gdy największa, najobfitsza wymiana w najszerszym zakresie przypada na Londyn. W mieście tem czuje się w każdej chwili uderzenia pulsu całego świata. W taki sposób, dzięki bezwiednemu zrzeszaniu się i wspólnej pracy, stworzoną została olbrzymia flota handlowa, żaglowa i parowa, przewożąca ludzi i towary z jednego krańca na drugi. W niemałym też stopniu zawdzięczamy prywatnej przedsiębiorczości sieć telegrafów podwodnych, dzięki której połączone są teraz obie półkule, mogące jednocześnie prawie doznawać jedną kowych wrażeń i bezpośrednio się z sobą komunikować. Wszystkie te ulepszenia i ułatwienia nie są dziełem rządów. Jeśli zadamy sobie pytanie, jaką drogą powstała wiedza,

która kierowała ogólnym rozwojem, dojdziemy do wniosku, że i ona nie zrodziła się pod wpływem nakazu jednostki. Prasa codzienna, tygodniowa i miesięczna nie jest też produktem działalności rządowej. Tak samo olbrzymie fale wydawnictw, zalewających bezustannie rynek księgarski, wszelkie sztuki: muzyka, malarstwo, rzeźba w najrozmaitszych jej przejawach, a także wszelkie rozrywki, pozwalające nam spędzać przyjemnie chwile wolne od pracy. Wielka ta organizacya społeczna, której byt podtrzymujemy sami za pomocą tysiącznych środków i która daje nam możność czynienia zadość najrozmaitszym naszym potrzebom, jest takim samym naturalnie wytworzonym produktem, jak mowa, dzięki której komunikujemy sobie wzajemne nasze myśli i żądania. Żadna władza państwowa, żaden monarcha, ani rada zarządzająca, nie stworzyli zarówno pierwszego jak drugiego. Niepojęta teorya Carlyle'a, mówiącego o wielkim człowieku i jego działalności, stanowczo zapoznaje genezę ustroju społecznego i jego funkcyj, oraz rozwoju jej w ciągu wszystkich wieków. Łączy on działalność prawodawcy, kierującego czynami współczesnego sobie pokolenia z ewolucyą całego politycznego ustroju, w stosunku do którego działalność prawodawcy jest tylko pojedyńczym wypadkiem. Przypomina to zupełnie dziecię, które, widząc po raz pierwszy ogrodnika, przycinającego gałązki i drobne pędy boczne, uważałoby go za jedynego widzialnego sprawcę, twórcę całej budowy, dla tego, że nie znane mu są zupełnie wpływy takich czynników jak słońce, deszcz, powietrze i grunt. Umysły ciasne nie są w stanie dostrzedz i zrozumieć pracy cichych, milczących, niewidzialnych czynników.

Wychowanie i kultura takie, jakie znamy dzisiaj, nie przyczyniają się bynajmniej do oświecenia tych umysłów,

przeciwnie — skłonne są raczej do działania na nie we wprost odwrotnym kierunku. Nauka literatury, na którą największy kładzie się nacisk u młodzieży, dotyczy przeważnie—po za badaniem języka—pojedyńczych osobistości. Po tradycyjnych czynach bogów i bohaterów, wielkich wodzów z ich zdobyczami i tryumfami, występują na widocznię utwory poetów, historyków i filozofów. Potem, kiedy wiadomości, nabyte w młodym wieku, uzupełniane są w latach dojrzalszych, widzimy tak zwaną historyę, składającą się z życiorysów królów, opowiadań o ich wzajemnych stosunkach, o waśniach i intrygach ich lenników i podwładnych. W świadomości człowieka, który poznał szczegółowo to przeważające curriculum, niema już miejsca na zrozumienie naturalnego, przyczynowego związku, zamiast niego zaś istnieje tylko pojęcie o przyczynowości sztucznej, rządzonej przez określone czynniki i przez potęgę, którą kieruje wola tego lub owego osobnika.

r. c.

Politechniki londyńskie. *)

Wykształcenie średnie w Anglii charakteryzuje się prastarą instytucyą alumnatów, a szczególniej tem, że urządzenie i prawa szkolne, metody i sposoby wychowania i wykształcenia dorastającego pokolenia w większości szkół średnich, pozostały takiemi, jakiemi były przed wiekami. Najstarszą z tych szkół jest Winchester College, założona w r. 1387. Wszystkie te szkoły początkowo miały charakter czysto klasztorny, z bardzo surowemi regułami i dyscypliną. Początkowo jedynym przedmiotem wykładowym była łacina a dopiero w 16-tym wieku wprowadzono i greczyznę. W tymże wieku Edward VI założył specyalną szkołę nawigacyi, w której wykładano i matematykę. W 19-tym wieku dzięki ofiarności publicznej i prywatnej, powstał cały szereg szkół, unormowanych wprawdzie według szkół dawniejszych, lecz z pewnem ustępstwem dla wymagań nowszych czasów. We wszystkich tych szkołach

*) Według artykułu Webba, pomieszczonego w wydawnictwie „Education Departament". (Special Raportson Education). Porównać P. G. Meżujewa. Uniwersalne urządzenia dla robotników Londynu.

główny nacisk kładziono na naukę języków klasycznych, a szczególniej na lekturę starożytnych pisarzy, uważając ją jako najlepsze przygotowanie do przyszłych zajęć zawodowych. Dopiero w ósmym dziesiątku przeszłego wieku do planu tych szkół, nazwanych Grammar Schools, wprowadzono naukę przedmiotów realnych, a w ostatnich czasach założono nawet specyalne szkoły realne „Organized Science Schools“. Musimy tu wyraźnie zaznaczyć, że w Anglii jeszcze i obecnie mniej się zwraca uwagę na gruntowne przygotowanie młodzieńca do słuchania wyższych nauk, niż na jego wychowanie na gentelmana. Kultura wrodzonego dowcipu i zdrowego rozsądku, rozwój sił fizycznych i odwagi, wpajania zasad uczciwości i obowiązku, uważane bywają jako daleko ważniejsze, niż wykształcenie fachowe.

Jeżeli uwzględnimy, że w Anglii, pomimo prawa z r. 1868 „Public Schools Act“ i dopełnień z r. 1873 i 1874, nietylko niema ogólnego planu dla szkół średnich jednego typu, i że nawet w jednej i tej samej szkole nie wszystkie przedmioty są obowiązujące dla wszystkich uczniów, to atwo zrozumieć, że wykształcenie średnie w Anglii nie może znaleźć uznania u nas, którzyśmy tak przywykli do jednostajności. Szkolnictwo jednak angielskie nietylko funkcyonuje ku zupełnemu zadowoleniu klas wyższych i średnich, lecz jeszcze, dzięki specyalnym instytucyom, roztacza swoje promienie dobroczynne i na klasy mniej zamożne, zapewniając im zdrowe wykształcenie i wychowanie.

Do najciekawszych instytucyj tego rodzaju należą tak nazwane politechniki londyńskie, instytucye nie mające równych sobie w świecie ucywilizowanym.

Instytucye te, z wyjątkiem nazwy, nie mają nic wspólnego ze znanemi u nas zakładami naukowemi. Politechniki bowiem londyńskie mają na celu kilka na raz zadań, a mianowicie zapewnienie młodzieńcom obu płci przyjemnego i użytecznego przepędzania czasu wolnego i uzupełnienie ich wykształcenia początkowego, lub nawet średniego. W tych zakładach młodzi ludzie, którzy cały dzień pracują na swoje utrzymanie, oddaleni od rodziny, krewnych i przyjaciół, znajdują jednocześnie klub, resursy, teatr, salę koncertową, salę gimnastyczną i szkoły.

Nazwa „politechnika“ pochodzi ztąd, że w r. 1880 szlachetny działacz na polu oświaty ludowej Quintin Hogg założył szkołę w gmachu, znanym pod nazwą politechniki, w którym odbywały się rozmaite zabawy i widowiska, mające na celu oświatę i kulturę ludu. Ponieważ interesa materyalne tego zakładu były opłakane, zatem właściciel zmuszony był wynająć ten gmach Hoggowi. Szkoła Hogga przeznaczoną była dla młodych robotników (Working lads Institution). W następstwie szkoła ta otrzymała nazwę „politechnika“ i za jej przykładem nazwę tę przyswojono wszystkim nowym instytucyom podobnego typu.

Politechniki londyńskie są to instytucye publiczne (under public management), w których członkowie, albo uczniowie w wieku 17—25 lat, znajdują przyzwoitą zabawę i naukę, albo poprostu mogą przepędzić przyjemnie kilka godzin czasu, wolnego od zajęć zawodowych.

Administracya każdej politechniki składa się z 10 do 20 członków i rozporządza rocznie sumą od 50,000 do 300,000, rb., prócz opłat, pobieranych od członków. Każda politechnika jest instytucyą zupełnie niezależną, nie podlegającą żadnej zewnętrznej kontroli. Kierunek jej zależy jedynie od rady administracyjnej (governing body), z tem jednak

ograniczeniem, że kierunek ten nie może być sprzecznym z wolą założyciela lub też z ustawą. Ustawy wszystkich politechnik z wyjątkiem jednej, opracowane zostały przez tak nazwaną Komisyę Dobroczynności „Charity Commision“, która udziela politechnikom znaczne zapomogi i z tego to tytułu ma niejaki wpływ na te instytucye. W Anglii, gdzie od wielu już wieków ludzie bogaci ofiarują znaczne sumy na cele oświaty i dobroczynności publicznej, nagromadziły się ogromne fundusze, które obecnie z powodu zmienionych warunków ekonomicznych i społecznych nie mogą znaleźć zastosowania praktycznego, zgodnego z wolą ofiarodawców (np. fundusze, przeznaczone na wykup chrześcian z rąk niewiernych). Otóż parlament angielski zezwolił, aby sumy te użyte były na cele oświaty ludowej. Charity Commission, rozporządzająca temi funduszami, biorąc pod uwagę, że rząd w ostatnich czasach wyasygnował bardzo znaczne sumy na szkoły początkowe, postanowił subsydyować szkoły średnie, szkoły techniczne i inne instytucye wychowawcze, mające na celu oświatę ludową w najszerszem znaczeniu tego słowa. Na bieg spraw politechnik wpływa też tak nazwana Izba wykształcenia technicznego hrabstwa londyńskiego (Technical Bord of the London County Concil). Izba ta w bardzo wysokim stopniu przyczyniła się do spotęgowania działalności nauczającej politechniki i bez jej hojnych zasiłków, nie jedna politechnika musiałaby znacznie ograniczyć sferę swego wpływu. Do otworzenia przy politechnikach klas technicznych przyczynia się komisya, znana pod nazwą Cily and Guilds of London Institut, zajmująca się rozdziałem sum, otrzymanych od tak nazwanej London Corporation i od starożytnych cechów. Każda z czterech wyżej wymienionych instytucyj ma swych przedstawicieli w Radzie politechnik londyńskich, która repre-

zentuje wszystkie politechniki stolicy. Początek swój wszystkie politechniki londyńskie zawdzięczają przypadkowemu zbiegowi czterech czynników: dobroczynności bogatego kupca londyńskiego, autorowi romansu utopijnego, aktowi parlamentu, nazwanego przez jego przeciwników aktem grabieży (predetory act) i nakoniec rozporządzeniu fiskalnemu, regulującemu opodatkowanie napojów wyskokowych (the whisky money).

Obaczmy, jaka była rola każdego z tych czynników. Założenie pierwszej swej politechniki, Londyn zawdzięcza niezmordowanej pracy szerzenia oświaty śród młodych robotników Londynu przez Hogga. Swoją działalność pedagogiczną Hogg zaczął od tego, że udzielił naukę czytania dwóm zamiataczom ulic. W następstwie Hogg założył szkołę dla oberwańców (ragged schol), którą, po upływie dwóch lat przekształcił w przytułek dla chłopców (a boy's home). W r. 1871 widzimy tego dobroczyńcę na czele szkoły wieczornej (evening institute), która z kolei została przekształconą w obszerny instytut, istniejący po dziś dzień pod nazwą Regent Street Polytechnic. W tym samym czasie opinia publiczna Londynu została zaalarmowaną groźnemi bardzo wiadomościami o zdziczeniu mas milionowego miasta. W r. bowiem 1882, znany pisarz angielski Sir „Walter Besant w głośnym romansie tendencyjnym „All sorts and conditions of men, an impossible story“, jaskrawemi barwami opisuje straszne położenie miliona obywateli wschodniej części Londynu, żyjących w okropnej nędzy materyalnej i moralnej, nie mających najmniejszego pojęcia o życiu towarzyskiem lub o jakiejś rozrywce przyzwoitej. Romans ten w wysokim stopniu zainteresował szerokie koła społeczne, wywoławszy widmo niebezpieczeństwa,

grożącego porządkowi społecznemu ze strony zdziczałych mas, i obudziwszy sumienie publiczne.

Ponieważ Besant w pracy swojej wskazał środek usunięcia złego, radząc zbudować pałac, w którymby wydziedziczeni i od losu upośledzeni mogli przez kilka przynajmniej godzin w ciągu dnia, prowadzić życie ludzkie, zatem ludność Londynu, idąc za radą poety zaczęła zbierać znaczne na ten cel sumy. Wkrótce z tych składek wzniesiono kolosalny gmach, znany pod nazwą „Pałacu ludowego i szkoły technicznej wschodniego Londynu". (Peoples Palace and East London Technical College), mający urzeczywistnić idee Besanta.

Pomimo jednak ogólnego zapału, ani fantazya ognista poety, ani ofiarność publiczna nie byłyby w stanie pokryć wydatków, potrzebnych do przeprowadzenia tej idei, w całej jej rozciągłości, gdyby nie środki pieniężne, wyasygnowane aktem City Parochial Charities Act z r. 1883. Niezmierny wzrost bogactwa 109 maleńkich parafij, składających dzielnicę Londynu „Old City", przy znacznem zmniejszeniu się liczby stałych mieszkańców tej części Londynu (gdyż City obecnie jest tylko zbiorem sklepów, składów, banków i kantorów), wywołały natarczywe domaganie się publiczności, bardziej celowego zużytkowania ogromnych sum, które w ciągu wieków liczni dobroczyńcy ofiarowali City na cele dobroczynne i użyteczności publicznej. Komisya parlamentu, wydelegowana do zbadania stanu funduszów, przekonała się, że znaczną ich część, około 800,000 rb. rocznie, wydaje się bez żadnego dla ogółu korzyści i dla tego zaproponowała, aby utworzyć komitet stały, zadaniem którego byłoby ufundowanie instytucyj, przynoszących korzyść niezamożnej ludności całego Londynu, i to w duchu nowoczesnej kultury. Dzięki agitacyi i usilnej pracy

członka Izby niższej, parlament uchwalił odpowiednie prawo. Nowoutworzony komitet uchwalił założyć w najrozmaitszych dzielnicach Londynu instytucye, podobne do politechniki na Regent Street, gdyż przekonano się, że ta ogromnie się przyczynia do rozwoju umysłowego i moralnego roboczej klasy Londynu. Główny nacisk kładł komitet na to, aby przy politechnikach otworzyć klasy dla technicznego wykształcenia narodu i to w bardzo obszernym zakresie. W celu zachęcania ogółu do ofiarności na ten cel użyteczny, komitet ofiarował na budowę i urządzenie politechnik znaczne sumy jednorazowo i poważne zapomogi roczne (około 100,000 rb.) z warunkiem, aby dzielnica, chcąca mieć w swoim obrębie politechnikę, zebrała na ten cel oznaczoną sumę. Rozumie się, że propozycya ta znalazła jaknajlepsze przyjęcie. Cechy i różne korporacye Londynu, jakoteż ludzie prywatni rywalizowali ze sobą w ofiarności na cel tak sympatyczny, jak oświata i ukulturowanie ludu. Stałe fundusze, potrzebne na utrzymanie politechnik zostały znacznie powiększone, dzięki rozporządzeniu rządu, według którego hrabstwa a tem samem i stolica, stanowiąca oddzielne hrabstwo, otrzymują pewną część podatku, nałożonego na napoje wyskokowe z warunkiem, aby sumy ztąd otrzymane użyte zostały na cele oświaty ludowej, albo też na zmniejszenie podatków lokalnych, albo nakoniec dla rozpowszechnienia wykształcenia technicznego śród robotników. Otóż w r. 1892 Zarząd hrabstwa londyńskiego postanowił powyższe sumy poświęcić na budowę i utrzymanie politechnik. Dzięki wyżej wymienionym czynnikom, stolica Anglii w r. 1898 posiadała, 11 politechnik i cztery ich filie. Obecnie o ile mi wiadomo, liczba ich dochodzi już do 17. Koszta łożone na nie, były bardzo znaczne, samo urządzenie pierwszych jedenastu

politechnik kosztowało przeszło 5 milionów rb., a wydatki na ich utrzymanie wynosiły rocznie około 1,300,000 rb., ponieważ zaś dochody z opłat członków i z biletów za lekcye, wynoszą około 300,000 rb., zatem pozostało okołomili ona rb., którą to sumę otrzymano ze źródeł wyżej wymienionych. Jeżeli jednak zważymy, że z tych instytucyj korzystało około 50,000 ludzi, to przyznamy, że kolosalne sumy na utrzymanie politechnik znalazły bardzo użyteczne zastosowanie. Rozumie się, że my o takich politechnikach i marzyć nie możemy, ale być może, że sumy przeznaczone na tak nazwane zabawy ludowe i teatr ludowy dadzą się użyć na urządzenia, mające niejakie podobieństwo do wzoru angielskiego.

Dr. K. Hertz.

H. G. WELLS.

ODKRYCIE PRZYSZŁOŚCI.

(Studyum).

Łatwiej mi będzie wejść w sam przedmiot, gdy na wstępie samym odróżnię i oddzielę dwa typy umysłów, typy, które różnią się pomiędzy sobą przedewszystkiem swem stanowiskiem wobec czasu a następnie stopniem zajęcia się przyszłością i ilością refleksyj, jakie jej poświęcają.

Pierwszy—mojem zdaniem, przeważający typ umysłowy, typ, do którego należy największa ilość ludzi — zgoła nie zajmuje się przyszłością, można powiedzieć, uważa ją za rodzaj nieistnienia ciemnego, na którem teraźniejszość idąca naprzód, nakreśli dopiero—wypadki.

Typ drugi—mojem zdaniem — bardziej współczesny a mniej liczny, myśli ustawicznie i najchętniej o rzeczach, które przyjdą i o rzeczach, które są, głównie dla skutków jakie sprowadzić mogą.

Pierwszy typ, ujęty w swej zupełnie doskonałej formie, jest z nałogu retrospektywny, tłómaczy rzeczy teraź-

niejsze i oznacza wartości, taksując wysoko jedno, nizko drugie, wyłącznie odnośnie do tego, jaką wartość posiada ze względu na przeszłość. Drugi typ jest konstrukcyjny z nałogu, tłómaczy rzeczy teraźniejsze i szacuje to lub owo wyłącznie ze względu na przyszłość przewidywaną lub domniemaną. W pierwszym wypadku, życie nasze polega po prostu na kolekcyonowaniu skutków przeszłości, w drugim polega na przyszłości. Pierwszy typ możnaby nazwać legalno-pokornym, bo wychowanie, zajęcie, niejako prawnicze, skłania go do tego, usposobionym jest ugiąć się pod prawem przyjętem, uznanem, uznać precedens, który stał się faktem a zwalczać będzie niezawodnie i to gorliwie, rzecz nową, która ustala się dopiero. Możnaby dla kontrastu, drugi typ nazwać prawodawczym, twórczym, organizacyjnym, zwierzchniczym, bo ustawicznie atakuje i modyfikuje porządek istniejący, nie mając poszanowania przyznawanego wszystkiemu, co daje przeszłość. Świat wydaje mu się olbrzymim warsztatem a teraźniejszość jest tylko ogromną stertą materyałów, z których buduje się przyszłość.

Rzeczy istniały, ich skutek, to istnienie nasze—mówi umysł legalny a drugi woła: jesteśmy tu, bo przyszłość ma powstać.

Nie upieram się, do którego typu należy ogół ludzi, do tego czy tamtego. Wistocie, mówię tu o tych dwu typach, zaznaczonych wyraźnie, dla wygody i w celu zaakcentowania ich różnic. Zapewne bardzo mała tylko garstka ludzi myśli ustawicznie tylko o przeszłości, nie wybiegłszy nigdy w przyszłość myślą, może z drugiej strony nie ma zupełnie tych, co żyją wyłącznie myślą o tem, co będzie. Główna masa zajmuje stanowisko pośrednie pomiędzy dwoma temi ostatecznościami, przechodząc co dnia, co

godzina nawet, ze stanu biernego w czynny, patrząc na rzeczy raz pod kątem ich kojarzenia się, to znów uwzględniając skutki i nie przypuszczają oni nawet, że używają tu dwu odrębnych metod myślenia.

A jednak są to metody wręcz przeciwne: odnoszenie wszystkiego do przeszłości i przyszłości, zlanie się ich zaś w jedno w umyśle naszym, nie dowodzi wcale ich tożsamości, tak samo, jak istnienie konia srokatego nie dowodzi, że kolor biały i czarny, to jeden kolor.

Zdaje mi się, że nie dosyć zwraca się uwagi na to, jak dalece różnorodne są te dwie metody a także na to, do jakich konsekwencyi może doprowadzić brak dokładnego ich rozróżnienia. Epoka nasza, to okres niepewności, niezdecydowania strasznego, w kwestyach rozlicznych — kwestyach moralnych, estetycznych, politycznych, religijnych i wszyscy czulibyśmy się dużo szczęśliwszymi, gdybyśmy byli upewnionymi co do nich, gdybyśmy je mieli ustalone.

Ogromna część tej chwiejnej niepewności w problemach pierwszorzędnej wagi, wynika z tego faktu, że u większości przynajmniej, te dwa niedosyć zróżniczkowane sposoby pojmowania świata, są równocześnie ciągle czynne w umyśle, co więcej, że popadły one w tym umyśle w konflikt—konflikt, którego nie przypuszczamy nawet. Przechodzimy z jednego światopoglądu obojętnie w drugi, nie uświadamiając sobie nawet ich zasadniczej odrębności, zwłaszcza widocznej we wnioskach a ma to rezultat zabójczy dla zaufania, jakie budzić powinno rozumowanie i dla logiki, tak bardzo nam potrzebnej na każdym kroku.

Ale zanim wskażę na głębokie różnice, zachodzące między dwoma temi typami umysłowemi czy też nałogami myślowemi, muszę odpowiedzieć pierwej na jeden za-

rzut, który tutaj się nasuwa a któryby można wyrazić w ten sposób: czyż rozróżnianie typu zwróconego ku przeszłości i typu zapatrzonego w przyszłość, nie jest to rozcinanie włosa na czworo lub ustanawianie podziału ludzi na takich, co mają rękę prawą i takich, co mają rękę lewą? Wszyscy—mówisz pan—wierzą, że teraźniejszość jest zupełnie zdeterminowana przeszłością, każdy więc wierzy w dalszym ciągu, że teraźniejszość określa najzupełniej przyszłość.

Na to odpowiem, że nie dyskutujemy wcale o tem, co wiemy i wierzymy o stosunkach, jakie zachodzą między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością, również jak i związku przyczynowym zachodzącym pomiędzy niemi naturalnie. Wiemy przecież wszyscy, że teraźniejszość zawisła od przeszłości, jako od swej przyczyny, podobnie jak przyszłość uwarunkowana jest teraźniejszością, dyskusya nasza dotyczy całkiem czego innego a mianowicie sposobu, w jaki porównywamy rzeczy ze sobą na tej wspólnej podstawie uświadomień i wierzeń naszych. Możemy wszyscy wiedzieć dokładnie, że istnieje wschód i zachód, ale jeśli jedni z nas zwrócą się wyłącznie na wschód, drudzy wyłącznie na zachód, inni zaś pragną błądzić tu i tam, nie troszcząc się o kierunek, patrząc na rzeczy z punktu jakiegokolwiekbądź, gdzie przypadek rzuci, pierwsi otrzymają wrażenie, że podróżowali w kierunku wschodnim, drudzy, że w zachodnim a ostatni nie zdołają sobie żadnej wytworzyć idei w kwestyi tak bardzo ważnej — a jednak zarówno ci, co szli na zachód i wschód, jak i błąkający się naoślep, mogą się spotkać na tym samym terenie wspólnych wierzeń i przepisów, wśród tych samych dowiedzionych i pewnych dla wszystkich zarówno faktów. Zupełnie tak samo rzecz się będzie miała, gdy porównasz

między sobą rzeczy na podstawie ich przyczyn, lub gdy je zestawisz ze sobą, uwzględniwszy przypuszczalne skutki tychże. W przeróżnych grupach najistotniejszych interesów ludzkich, można wykazać bardzo jasno, jak bardzo oddalićby się musieli zwolennicy wyłącznie jednej z tych metod, w jej czystej i nieskażonej formie, od wyznawców drugiej i w jak bardzo różnych kierunkach zostaliby pociągnięci.

Przed trzystu, dajmy na to, laty, ludzie rozmyślający nad zagadnieniami moralnemi, badając kwestyę dobra i zła, dedukowali apodyktycznie i bez zastrzeżeń swe przepisy postępowania z przeszłości, z pewnych dogmatów, z kilku edyktów, zadekretowanych nieodwołalnie. Ogół postępuje do dzisiaj w ten sposób. „Tak jest napisane“ — mówią. „Nie będziesz kradł“. I to jest też jedynym powodem zupełnym i wystarczającym, dlaczego nie powinieneś kraść a dziś jeszcze mają wszyscy uprzedzenie przeciw badaniu stosunku, jaki zachodzi pomiędzy realnemi skutkami pewnych czynów a imperatywem złego i dobrego. Życie nasze ma za cel zbierać owoce rzeczy dokonanych, zawsze jeszcze stoimy pod suggestyą moralności uznanej, że należy czynić dobrze, choćby niebo nam spadło na głowy. Znajdują się jednak tu i owdzie ludzie, którzy wzbraniają się nazywać dobrem to, coby spowodowało powyższą katastrofę, mimo autorytetu źródeł, z których płynie prawo moralne, mimo ich sankcyi i zdaje mi się, że ten pogląd zaczyna się upowszechniać. Przypuszczam, że zawsze istnieli ludzie, którzy w sposób bojaźliwy, wahający się, wstydliwy—łagodzili surowość kodeksu moralnego za pomocą szeregu naruszeń przestępstw, które im widocznie dobre dawały rezultaty; wydaje mi się, że to właśnie jezuici debatują, poszukują sposobów kwalifikowania aktów moralnych,

według rezultatów, jakie one dają. Dzisiaj niewielu tylko ludzi nie uznaje mniej lub więcej, że przyszłość jest czynnikiem nader ważnym w zapatrywaniach na moralność. Dzisiaj jeszcze tylko znikająca mniejszość ludzi uważa szczerze moralność naszą za środek do pewnego celu, za wielką ilość przepisów bezpośrednich i osobistych, nie liczących się z tem, co może przynieść przyszłość i ta mała garstka ludzi nie uznaje też zupełnie kodeksu dogmatycznego, uznanego i ważnego na zawsze. Większość nas nie myśli tak ściśle jak tamci, ale choć do głębi przeświadczeni o konieczności kompromisu między przeszłością a przyszłością, wyznajemy bezwzględne posłuszeństwo przepisom dawnym, obserwujemy jednomyślnie jej nakazy, łagodząc je tylko od wypadku do wypadku, dowolnie, bez poglądu na rzecz samą w sobie i w tych razach kierujemy się względami na użyteczność czynów, to jest na ich skutki. Twierdzimy np., że należy dotrzymywać obietnic. Przypuśćmy jednak, że spostrzegliśmy się np., iż dotrzymanie obietnicy danej, zatwierdzonej przysięgą, w sposób najświętszy umocowanej, musiałoby przynieść wielkie troski i przykrości, spowodować realne zło. Czy człowiek łamiący to przyrzeczenie postępuje dobrze czy źle? Sąd praktyczny, któryby wydała większość ludzi współczesnych, byłby — złamać to przyrzeczenie. Większość powiedziałaby, że łamiąc przysięgę, robi się złe mniejsze, by uniknąć większego. A teraz przypuśćmy, że zło, które ma nas spotkać, nie jest wielkiem złem, lecz tylko jakąś przykrością drobną, obietnica zaś jest większej wagi. Dla większości z pomiędzy nas kwestya streszcza się w porównaniu obietnicy—rzeczy należącej do przeszłości, ze skutkiem nieznanym i złym—rzeczą przyszłości.

Im mniej będzie spodziewanych złych następstw, tem większe będzie nasze wahanie.

Ale żaden z dwu typów tutaj sobie wzajem przeciwstawionych, nie będzie szukał wykrętów. Bez namysłu legalny typ umysłowy usłucha przeszłości, typ twórczy bez wahania poświęci ją dla przyszłości. Umysł legalny powie: Ci, co naruszą prawo w jednym wypadku, niweczą je zupełnie, typ zaś twórczy powie: Niech zmarła przeszłość chowa swych zmarłych.

Użyłem tutaj za przykład kwestyi obietnicy, najwybitniej jednak w dziedzinie moralności płciowej występuje konflikt tych dwu metod myślenia.

Chcę tutaj zaznaczyć, że człowiek dopóki się nie zdecyduje ostatecznie i stanowczo, bądź to ulegać stale imperatywom realnym lub wyobrażanym sobie przeszłości, bądź też obrać sobie jakiś ideał przyszłości, dopóki nie postanowi zapisać się do jednego lub drugiego typu umysłowego, nie może nawet marzyć o stałości w swych myślach, które są podstawą jego czynów i zawsze, gdy go zaskoczy kwestya zasadnicza, będzie oddany w swych sądach na łaskę i niełaskę mody intelektualnej, która w tej właśnie chwili będzie panowała także i w jego umyśle. W zakresie spraw publicznych istnieją także dwa sposoby patrzenia na rzeczy i wyciągania konsekwencyi różnorodnych i nie dających się ze sobą pogodzić. Umysł legalny obstaje przy traktatach, konstytucyach, prawowitości, przywilejach, umysł prawodawczy atakuje je bezustanku.

Ilekroć nadchodzi okres trudności, gdy następuje konflikt pomiędzy instytucyami a siłami właśnie wyładowującemi się, tworzy się rozdział pomiędzy obu temi rodzajami umysłów. Umysł legalny otacza się gloryą i zmienia się w lojalność bezwzględną, beznadziejną, umysł twórczy

popycha ku rewolucyi i doradza przeróbkę od podstaw. Ta różnica poglądów występuje zwłaszcza w dyskusyach, prowadzonych z okazyi np. wojen. Prawie we wszystkich wojnach współczesnych można bezwątpienia odkryć wyraźną ideę twórczą, wzgląd wyraźny na pewne skutki w przyszłości. Zasadnicza sporna kwestya w wojnach współczesnych a zwłaszcza kwestya wojen średniowiecznych, polega na odnoszeniu ich nie do przyszłości a więc skutków, lecz do przeszłości, do faktu i prawa. Wojny Lankastrów i Plantagenetów przeciw Francyi np., wyłącznie polegają na niejasnych i niepewnych prawach do korony francuzkiej, bronionych wreszcie wątpliwemi argumentami prawnemi. Podobnie argumenta używane w sprawie wojny południowo-afrykańskiej, nie liczyły się wcale z ideałem, to jest z korzyściami, jakie przypaść miały w udziale zjednoczonym republikom południowo-afrykańskim, ale badały, kto wypowiedział wojnę, co było a co nie było napisane z okazyi jakiejś niejasnej rewizyi traktatu z przed laty dwudziestu. A jednak pod tą dyskusyą oficyalną, jaka wrzała podczas całej wojny, istniała idea twórcza i utrwaliła się bardzo wybitnie w umysłowości zbiorowej. I można ją odszukać mniej lub więcej jasno sformułowaną pod oficyalnemi uznanemi motywami prawie wszystkich wielkich wojen wieku minionego, porównanie zaś wojen wieku XIX ze średniowiecznemi wykazałoby, jak sądzę, tenże sam fakt, że na tem polu także istnieje dążenie odkrycia przyszłości, że istnieje coraz wyraźniej zarysowująca się dążność odnoszenia się przy badaniu faktów spełnionych i oznaczaniu ich wartości do ich skutków, mających nastąpić dopiero.

Podczas jednak, gdy przewidywanie opanowywać za-

czyna naszą politykę i przychodzi do znaczenia w badaniu konsekwencyj moralnych, w życiu naszem panuje jeszcze niepodzielnie przeszłość. Czemuż się tak dzieje? cóż nas z nią tak łączy? Idziemy przecież w przyszłość. Jutro zawiera w sobie całokształt tego, co mamy czuć jeszcze, co odczuwać będą dzieci nasze i wszyscy nam drodzy. A jednak klasyfikujemy i szykujemy ludzi w klasy wyłącznie odnośnie do przeszłości, wnioskujemy na podstawie niej o hańbie lub zaszczytach. Przyszłość nie przeważa szali, gdy mowa o prawach własności, o roszczeniach nabytych przez umowy, o instytucyach przeszłości. Literatura jest właściwie historyą lub conajwyżej wyższym stopniem historyi a czemże jest kultura, jeżeli nie pewnym sposobem interpretacyi, gdzie rzeczy nowe są rzucone jak kolekcya miar i wag urzędowych, rodzaj łóżka króla Oga, podług długości którego wszystkie pojęcia nowe muszą być skracane lub naciągane.

Rzeczy służące do naszego użytku, podobnie jak myśli nasze, wszystkie są retrospektywne. Mieszkamy w domach pozbawionych komfortu, niewygodnych, zużywając czas na kultywowaniu form, z któremi jużeśmy się zżyli a to z obawy rzeczy obcych, nieznanych, nakoniec sprawy publiczne sparaliżowane są restrykcyami lokalnemi, ciasnemi i drobnostkowemi. Ubranie, sposób mówienia, pisania, wymawiania, nasze wagi i miary, monety, zarówno jak pojęcia religijne i państwowe, wszystko świadczy o niezmiernym wpływie, jaki wywiera na nas przeszłość. A jednak nie czcimy jej jak Chińczycy. Jest to kwestya stopnia.

Nie czcimy modłami przodków naszych i nie ustanawiamy niezmiennych kostyumów lokalnych, posuwamy się aż do zwiększenia zakresu naszych wiadomości i okolicz-

nościowo łagodzimy klasycyzm, pozwalając sobie czasem na bilans myśli oryginalnej. W porównaniu do Chińczyków, jesteśmy oświeceni i wiemy dużo o przyszłości, lecz w porównaniu do tego, czem byćbyśmy mogli, przeszłość jest wszechświatem naszym.

Powód, dla którego przyzwyczajenie patrzenia wstecz, kierunek umysłowości tak zwany legalny przeważa, jest bardzo widoczny. Wyznajemy zasadniczo ludzką regułę brania tego, czego dosięgnąć możemy. Wszyscy są przekonani, że przeszłość jest absolutnie pewną, określoną i dającą się jedynie określić a niewielu jest tylko takich, co przypuszczają, że jest możliwem poznać jakiś mały skrawek przyszłości. Człowiek przyzwyczaił się iść myślą w przeszłość, bo był to kierunek, w którym umysł jego spotykał najmniej przeszkód. Podczas bowiem, gdy pewna, zmienna zresztą, część przeszłości, jest w każdym pojedyńczym wypadku życiowym cennym materyałem poznania, przyszłość jest nieistniejącą dla każdego umysłu, którego wyobraźnia nie przyzwyczajona do naukowego sposobu myślenia. Cały nasz umysł powstał z pamięci, jest jej produktem. W pamięci swej każdy z nas ma coś, co bezświadomie nawet zwraca się w przeszłość, by uchwycić jasno zdecydowanie przeróżne użyteczne fakty, często z większą ochotą niż—pewnością. Wyobraźnia natomiast, o ile nie jest wzmocniona przez dokładną znajomość praw przyczynowości, błądzi jak dziecko, zatracone w ciemności rzeczy przyszłych a powraca zmęczona i pusta.

Wielu ludzi sądzi wskutek tego, że nie istnieje żaden rodzaj pewności co do przyszłości. Nie możesz więcej wiedzieć z rzeczy przyszłych, zapewniał mię niedawno jeden znajomy, jak nie wiesz np., z której strony zeskoczy kot z wysokiego stołu. Dla wszystkich, co mają ten pogląd, co

patrzą na przyszłość, jako na wieczne źródło niespodzianek denerwujących, na ciemnicę nie dającą się oświetlić i beznadziejną, łatwym jest ten sposób rozumowania; wnioskowanie o wartości, którą należy przyznawać pewnym rzeczom na podstawie wypadków istotnie i rzeczywiście zaszłych. To nasza nieświadomość, nasze przekonanie, że ta nieświadomość usunąć się nie da, nadaje przeszłości tak ogromną przewagę w zakresie naszych myśli. Ale jeśli uwzględnimy długi szereg wieków minionych, to uderzy nas szereg niekończący się i nieprzerwany, proroków i niosących dobrą nowinę, nieprzerwany łańcuch rozwojowy sztuki i to da świadectwo, że istnieje utajone a wiecznie żywe uczucie, że istnieje, mimo wszystkiego może, inny rodzaj pewności i świadomości, rodzaj użyteczniejszy niżli ten, jaki posiadamy na codzień.

Jedną rzeczą, która narzuca się umysłowi, gdy przyswaja sobie rozległe koncepcye nauki, to okoliczność—że stosunek przyczynowy jest ważny dla całego wszechświata, że w fakcie jego istnienia, zarówno jak i tym małym odłamku ogólnego faktu, który stanowi istnienie drobnego indywiduum, jako fakt kosmiczny, przyszłość jest równie ustalona i konieczna, jak przeszłość i o tyle także jak ona jest przedmiotem poznania. Nasza pamięć osobista daje nam wrażenie ścisłości i wyższego gatunku realności rzeczy, które definitywnie stały się, które wyrzekły swoje: jestem, tak samo w miarę, jak zagłębiamy się i studyujemy naczelne pojęcia nauki, rozumiemy coraz lepiej, że to wrażenie co do przeszłości, nie jest prawdą bezwzględną, ale rezultatem takich a nie innych usposobień naszego umysłu i samego istnienia. Człowiek nauki pochodzi ostatecznie do przekonania, że wypadki, jakie zajść mają w r. 4000 w przyszłości, są tak samo oznaczone, postanowione

i nieuniknione, jakiemi okazały się wypadki z roku 1600, z tą tylko różnicą, że dla ostatnich mamy materyał, na których oprzeć możemy nasze widzenia, sprawdzić je, podczas gdy dla pierwszych tego probierza nie mamy. Kwestya teraz przedstawia się w nowej formie. Należy zbadać, do jakiego stopnia ta absolutna nieznajomość historyi jest warunkiem stałym i koniecznym dla życia ludzkiego i do jakiego stopnia stosowanie metod intelektualnych rozjaśni, jeśli nie zupełnie rozproszy, ciemności zakrywające nam rzeczy przyszłe. Pójdę aż tak daleko, że powiem, iż zdaje mi się, że w pewnych warunkach i z pewnemi zastrzeżeniami, znajomość zdatna do eksploatacyi—co do rzeczy przyszłych jest możliwą i dającą się zastosować w praktyce.

Pragnąc udowodnić to moje twierdzenie, muszę zwrócić uwagę czytelnika na pewne fakta, odnoszące się do naszej znajomości przeszłości i nacisk kładę na to, że odnośnie do przeszłości, zakres naszej pewności zupełnej jest bardzo ciasny. Jesteśmy skłonni szacować za wysoko pewność naszą co do rzeczy minionych. A znajomość ta i pewność, jaką mamy, nie jest cała w sobie jednolita i nie pochodzi z jednego źródła.

Zbadajmy, co współczesny, wykształcony człowiek wie o przeszłości. Naprzód posiada on najrealniejszą ze wszystkich, świadomość swoich osobistych doświadczeń—pamięć. Ludzie bez wyższej kultury, mają do swych doświadczeń wiarę nieraz absolutną, gdy większość wykształconych odnosi się do tych doświadczeń z pewną rezerwą. Mała tylko ilość ludzi patrzy na przeżyte przez siebie fakta krytycznie.

Wiemy, że nietylko wspomnienia nasze ukazują luki wielkie co do niektórych minionych faktów, ale także nie-

raz marzenie lub suggestya mogą do nich dodać wiele innych, które nie miały miejsca. Mimo to, pamięć nie przestaje być dalej żywą i realną bardziej niż wszystko inne i gdy się powie: widziałem, słyszałem, czułem—oznacza to najwyższy rodzaj pewności, rodzaj—absolutny.

A jednak pamięć, wrażenie nasze, jest to zaledwie mała cząstka naszej świadomości ogólnej. Po za tym oświetlonym fragmentem, istnieje inna świadomość, świadomość jaką osiągamy za pośrednictwem indywiduów innych. Po za naszą pamięcią bezpośrednią i osobistą, istnieje szeroki zakres faktów, o których nam opowiadają ludzie mniej lub więcej zasługujący na wiarę, opowiadają ustnie, lub o których to faktach czytamy w książkach, pisanych przez ludzi żyjących dotąd lub ludzi, co już zmarli. Jest to przeszłość zasłyszana, tradycyjna, historyczna — i rodzaj świadomości jej jest inny. Świadomość ta, o ile nas blizka jeszcze—jest jasna, obfita w fakty, im dalej jednak, tembardziej się zaciemnia a cofając się w bezmiary czasu i przestrzeni, zamienia się zwolna w krótki jakiś zarys, w zagadkową tradycyjną bajkę i ginie nareszcie, jako legenda, jako dokument ludzki — nieczytelny, w wątpliwościach i cieniach równie nieprzeniknionych jak te, któremi okryta jest przyszłość. A teraz pozwolę sobie przypomnieć, że ten drugi rodzaj świadomości, całkiem odmienny od tej jasnej sfery, zamykającej to cośmy sami czuli, widzieli czy słyszeli, ten rodzaj wiadomości zasłyszanych, historycznych, tradycyjnych—składał się na zakres świadomości takiego np. Szekspira. Aż do początku XIX wieku—do tego jedynie zredukowaną była ludzka znajomość przeszłości, jeśli pominiemy kilka przypuszczeń, konjunktur i bojaźliwych usiłowań bez znaczenia. Prócz tego zakresu rzeczy zasłyszanych, historycznych, człowiek posia

dał jeszcze pewną ilość legend, błędów, co razem dawało obraz wprawdzie zadawalający, ale w istocie bardzo błędny, zamknięty w ramach 4000 lat.

To była historya powszechna człowieka — wszystko, co wiedział—aż do epoki, w której powstała nauka. A po za temi granicami? Jestem pewny, że wykształcony człowiek w wieku XVII był równie pewny, że przed stworzeniem świata nic nie było, jak i większość nas jest pewną, że przyszłość w gruncie rzeczy wcale nie istnieje, że jest nieistnieniem a przynajmniej tak samo pogodził się, jak większość współczesnych nam, z niemożnością dowiedzenia się czegokolwiek więcej bądź w jednym, bądź w drugim kierunku.

Ale współczesna nauka, to znaczy nieugięta krytyka i systemizowanie zjawisk, w stu latach ostatnich zniszczyła najzupełniej pojęcie początku wszechrzeczy w epoce jakiejś, obaliła granicę, jako pojęcie stworzenia (jako aktu mającego pewną datę), kładła na przeszłości i dodała olbrzymią perspektywę do tego małego skrawka doświadczeń, jakie miał wiek XVI. I właśnie kładę nacisk, na to, że ten przybytek świadomości, jest świadomością nową, uzyskaną w sposób całkiem nowy. Wiemy nietylko równie pewnie a pod wielu względami nierówniej pewniej to, co wiedział Sargon Zenobius lub Caractacus, ale znamy kształty i zwyczaje istot, których żaden z żyjących nigdy nie spotkał, których żadne oko ludzkie nie ujrzało, wiemy, jakie były krajobrazy nigdy nie oglądane przez żywych, bo były przed nimi, możemy sobie przedstawić labirynthodontę, wychylającego olbrzymią głowę z bagien epoki węglowej, gdzie żył i pterodaktyla, tego olbrzymiego ptaka-jaszczura, unoszącego się w powietrzu ponad lasami okresu me-

zo-zoicznego i to zupełnie z tą pewnością, z jaką wyobrażamy sobie nosoroga lub sępa. Nie mamy wątpliwości już, co do tych faktów dalekich, jak nie wątpimy o zjawiskach nam blizkich. Jestem pewny tak samo, że było megaterium, którego nigdy nie widziałem, jak pewny jestem, że istnieje hipopotam, któremu właśnie podaję w ogrodzie zoologicznym kawałek chleba.

Ogromna ilość szczegółów, odnośnie do epok bardzo odległych, jest na wieki utrwalona i zupełnie pewna. Niezliczona liczba badaczów ciągle z wiarą w skutek i z usilnością, pracuje nad rozszerzeniem, wypełnieniem, sprostowaniem i cofnięciem tych granic wielkiej przeszłości przedludzkiej, którą naukowa krytyka istniejących zjawisk odkryła, uzupełniła i po raz pierwszy wprowadziła w świat ludzkiej myśli. Weszliśmy w posiadanie nowej historyi świata, dawniej nie przypuszczanej nawet, z której to, co wiedział dr. Johnson np., jest tylko bardzo zwięzłą konkluzyą. Konkluzya ta nawet sama doznała rozszerzenia, sprostowania ze strony archeologów, ciekawych, pracujących ściśle według metod nowych a mianowicie: posługujących się porównaniem i krytyką zaobserwowanych faktów.

MODERNIZM.

Sztuka modernistyczna, ze wszystkiemi jej właściwościami, nie jest niczem nowem; przeciwnie, strojąc się w barwne pióropusze, czerpie z przeszłości najpiękniejsze swe siły. Sztuka wogóle jest czemś wiecznie płynącem i jak ów strumień wciąż falujący i wciąż odświeżany, ubieży bystro naprzód, tak i ona zmieniając swoje kierunki, napełnia niektóre umysły artystyczne żądzą wypłynięcia na samą powierzchnię. Klasycyzm, romantyzm i modernizm, trzymając się na odrębnych krańcach, starają się ustawicznie nawzajem prześcignąć w tworzeniu nowych a oryginalnych pomysłów na tle artyzmu.

Jest to walka dwóch prądów, która w historyi sztuki zdarza się tak często; sztuka średniowieczna i renaissance, potem renaissance i barok, rokoko i klasycyzm — wiodły bój o pierwszeństwo twórczości. Aż nazbyt często podnosi estetyka bunt przeciw tyranii nowych prądów w sztuce, psujących harmonię efektów i będących raczej stroną szpetną wielu porywów artystycznych. Klasycyzm Winkielmana, Lessinga, Göthego, Lawrence'a, Canovy, Thorwaldsena, Raucha i innych—stanowił właśnie reakcyę w sztuce, która za czasów Ludwika XVI, tu i owdzie zaczęła majaczyć

w świecie artystycznym, za pierwszego zaś cesarstwa rozwinęła się dążność powyższa do ustalonej konsekwencyi. Z pośród tego ruchu znów wyłaniał się powoli romantyzm, powołujący do życia wiele idealnych dzieł, których twórcy zdradzali idee najbardziej sensacyjne. Były to wprawdzie tylko jednostki, ale ci mistrze pendzla czy dłuta, uduchowieni artystycznie, twierdzili stanowczo, że szkoły, lub też akademie sztuk pięknych o zakresie pedagogicznym, właściwie nie mają żadnej racyi bytu. Geniusz i talent stanowią o dziełach artysty a żadna szkoła nigdy w nikogo nie wleje geniuszu. Nawet nowsze kierunki nie mogą się stosować do ogółu artystów; trąciłyby bowiem naśladownictwem, którego tak unikają artyści, jak unikają banalności.

Romantyzm w sztuce podnosi geniusz; wywołuje całą moc nowych sił żywotnych; dostarcza świeżych wrażeń, szczególniej wszelako domaga się uznania w historyi sztuki. Romantyzm, nacechowany chorobliwym jakimś pedantyzmem, wyzwala się z pętów tradycyi a przyswajając sobie prawo indywidualizmu, otwiera nowe horyzonty, hołdując mimo wszystko wszelkim stylom. Tym sposobem romantycy nowocześni, tworząc dzieła bliższej epoki, zagłębiają swój wzrok w przeszłość, mianowicie starają się odtwarzać czasy ubiegłe, lecz jednocześnie podlegają i niemal narzucają osobiste swe pomysły. Celem wielu artystów ostatniej doby jest... odtworzenie epoki renaissansu; dążąc do tego kierunku nerwowo, nie zapominają jednak o tendencyach teraźniejszości a łącząc „piękne z nadobnem“, składają chciwym wrażeń, powabną mieszaninę artystycznego piękna.

Nawet literatura współczesna, wiedza przyrodnicza, rozwój techniki i sztuki malarskiej, podlegają tymże prą-

dom, budząc w twórcach niezadowolenie, niepokój i chęć do walki... Ale do jakiej? Sami nie wiedzą. Czują i rozumieją, że w ostatnich czasach sztuka i wyższa wiedza zależne są od różnych ewolucyj; że wpływy obce, szczególniej styl japoński—odgrywają w całej niemal Europie znaczną rolę. Ztąd nieprzeparta chęć do najdoskonalszego naśladownictwa, oraz utrata indywidualizmu i samodzielności. W imię tedy samoistności wywiązuje się walka o swojskość, głównie zaś o twórczość, zawisłą od wielu otaczających okoliczności. Takich jednak wojowników napotyka się bardzo mała liczba, przyczem różne narody Europy objawiają powyższe porywy na rosmaite — mniej lub więcej zuchwałe — sposoby. Są to tak zwani rewolucyoniści w sztuce i literaturze... śmiałość ich dochodzi w niektórych krajach do kulminacyjnego punktu. Widzimy podobne objawy w Belgii, w krajach północnych Skandynawii; w Niemczech zaś i Austryi ewolucye takie przybierają coraz zuchwalsze rozmiary. Tylko we Francyi i Anglii wszechwładniejszy jest konserwatyzm.

Jedni pragną zachować swojskość w imię tradycyi, inni występują jako reformatorzy; ci ostatni, składając cześć balwochwalczą nowszym kierunkom, tworzą dzieła oryginalne, dość często niezrozumiałe, prawie dzikie.

Tu przytoczyć należy pewien praktyczny zwrot w Anglii na polu architektonicznem; jest to fakt wielce znamienny i może służyć jako wzór innym narodom. Wyrozumiały Anglik, pojąwszy oddawna potrzebę mieszkań stara się w ostatnich czasach posunąć budownictwo do odpowiednich wyżyn. Umiarkowanie, wygoda, doskonale zastosowana elegancya, kształt mieszkań, nawet barwy malarskie—bywają tam w dobie obecnej pod każdym względem traktowane zasadniczo. Ani Morris, ani Shaw, ani

Ruskin i ani wielu innych filarów modernizmu w Anglii, nie mogli wpłynąć na ten ruch architektoniczny. Podczas gdy architektura i sztuka we Francyi opierają się na fantazyi i na osobistym nastroju ducha, w Anglii przeciwnie, zależą od ogólnie uznanych praw, ustalonych na silnym gruncie. W szkołach, pracowniach, warsztatach, i t. p. — wszędzie panuje nowoczesny porządek, który zda się, niejako wkorzenia i pilnie unika starych obyczajów.

Modernizm wogóle pozornie pogardza wszystkiem, co przypomina przeszłość a najwyższym celem modernistów jest dążność wielka, nieprzeparta dążność... ku fantastycznej samowoli.

Powieści bohaterskie.

Sienkiewicz jest bardzo modny; tłómaczą go na wszystkie języki europejskie a obecnie p. Gąsiorowski w „Huraganie“ swym, przetłómaczył go na napoleońską epokę. Porucznik legii włoskiej, Floryan Gotartowski, po kilku latach tułaczki, wraca do kraju, lecz wraca nie dla odpoczynku a z tajnem poleceniem i listem generała Dąbrowskiego do księcia Józefa. Po drodze zatrzymuje się przez jedną noc w rodzinnej swej wiosce Gotartowicach, niedaleko Rawy położonej, zostawia tutaj towarzyszących mu, bardzo doń przywiązanych: markietankę pierwszej legii, pierwszego batalionu i podoficera tejże legii i batalionu Joannę i Macieja małżonków Żubrów. Państwo Żubrowie, których później przez cały ciąg powieści to tu, to tam spotykamy, są dziwnym trafem bardzo podobni do dwóch bohaterów sienkiewiczowskiej trylogii: ona, t. j. p. Joanna, jest ni mniej, ni więcej, jeno Zagłobą w spódnicy — a jej małżonek ogromnie Rocha Kowalskiego, trochę transponowanego przypomina. Lecz o tem—potem.

Porucznik Gotartowski, żegnany łzami całej rodziny i błogosławieństwem matki i starego dziadka, rusza ku Warszawie, przybywa do stolicy, szczęśliwie przedostaje się przez pruskie straże i udaje się do dalekiej krewnej swej matki, wdowy po pułkowniku Dziewanowskim, aby się od

niej lub jej znajomych dowiedzieć, co słychać w Warszawie i o najprędszym a najłatwiejszym sposobie dostania się do księcia Poniatowskiego. Pani Dziewanowska zatrzymuje u siebie miłego gościa, poczem następuje spotkanie à la „Pan Tadeusz“, między porucznikiem a panną Zofią Dziewanowską, która odrazu bierze w jasyr serce wojaka, lecz i sama gorącym ku niemu płonie afektem... Tu staje się dziwna rzecz: Gotartowski, który przez cały czas powieści jest oficerem nieposzlakowanym a na początku tejże ma już za sobą lata służby i zaufanie Dąbrowskiego, po godzinnej znajomości z panną Dziewanowską, powierza jej tajemnicę tak ważną, że od niej zależy „sprawa całego narodu“. Czy to prawdopodobne? Nie zdaje nam się—a mniej prawdopodobnem jeszcze jest wyprawa Zośki do Jabłonny. Lecz w powieści p. Gąsiorowskiego jest wiele rzeczy o wiele więcej nieprawdopodobnych. Panna Dziewanowska prowadzi Gotartowskiego do pałacu „pod Blachą“, lecz tutaj porucznik dowiaduje się, że książę pojechał do Jabłonny, wraca więc zmartwiony do domu, z postanowieniem wyruszenia tam tejże nocy, aby jaknajprędzej spełnić powierzoną sobie misyę.

Zosia Dziewanowska dowiedziawszy się, że wyprawa do Jabłonny może być dla p. Floryana połączona z niemałem niebezpieczeństwem, zabiera z pokoju porucznika pozostawioną w zawiniątku, wraz z innemi rzeczami, szkatułkę z papierami i potajemnie jedzie do księcia, aby w ten sposób uchronić Gotartowskiego od grożącego mu niebezpieczeństwa. Po zniknięciu panny, wszyscy rozpaczają: pani Dziewanowska ze względu na córkę, Floryan ze względu na papiery i na czekającą go odpowiedzialność. Wszystko jednak dobrze się kończy: Zośka wraca, wraca nawet z księciem (?), który sobie jakoś upodobał

Gotartowskiego, miewa z nim poufno-dyplomatyczne konferencye, lecz na propozycye generała Dąbrowskiego a raczej sztabu francuzkiego, na razie się nie zgadza i odsyła go do marszałka Małachowskiego.

Bieg wypadków, powstanie księztwa Warszawskiego, jest każdemu znany, niema więc nad czem się rozwodzić a historya Gotartowskiego i Zosi Dziewanowskiej jest pomimo przeplatające ją dość gęsto „cudowności“, bardzo pospolita i dlatego nie będziemy jej zbyt szczegółowo opisywali. Młodzi, jakeśmy już to zaznaczyli, pokochali się, on pojechał na służbę a ją tymczasem nieprzyjaciel całego rodu Dziewanowskich, pruski szpieg, Kralewicz, kazał aresztować i więził na pustkowiu w jakiejś okolicy podmiejskiej Warszawy, poczem wysłani przez Floryana jeszcze z Częstochowy Żubrowie, przy pomocy wskazówek Jana Dziewanowskiego (brata stryjecznego Zosi) i złota, otrzymanego od Napoleona, odnajdują uwięzione kobiety, to jest Dziewanowskie matkę i córkę. Opowiadanie o odnalezieniu przez Żubrów Zosi i jej matki, o walce z Kralewiczem i jego zbirami, o ucieczce przez lód, i t. d.—strasznie pachnie francuzkiemi romansami sensacyjnemi a conajmniej „Tajemnicami Paryża“ Sue'go. Gdy Gotartowski po pewnym czasie wraca do Warszawy, nie zastaje już Dziewanowskich a ich krewniak, Jan, przyparty do muru, wyznaje mu, że niema nadziei odnalezienia ich, że Zosia i ciotka są albo w niewoli pruskiej, albo na lepszym już świecie. Gotartowski z rozpaczy wpada w odrętwienie, idzie nad brzeg Wisły, siedzi tam przez pewien czas bez myśli, bez celu. Tu go odnajduje książę Józef, prowadzi do siebie, a widząc, że porucznik jest chory, posyła po chirurgów i powierza go służbie swej, polecając, aby nad Gotartowskim najtroskliwszą roztoczono opiekę. Po trzech miesią-

cach wraca Floryan do zdrowia—a jest to cudowne, zaiste, ocalenie—skoro, jak powiada chirurg Duderko, pacyentowi przez cały czas choroby codzień się po kwaterce krwi puszczało, czyli że razem przez 120 dni upuszczono mu 30 kwart krwi!

Czy to nie za wiele? czy Duderko p. Gąsiorowskiego nie zagalopował się trochę? Galop, to charakterystyczna cecha narracyi autora: takie naprzykład zdobycie Częstochowy przez kapitana Kosińskiego, jest mocno nieprawdopodobne. Że imć pan Wosiński, z setką ludzi zaledwie, zdobył Częstochowę, t. j. zmusił podstępem do kapitulacyi jej dwutysięczną, dobrze uzbrojoną i należycie w żywność zaopatrzoną załogę, z generałem Wagenfeldem na czele—w tobyśmy już uwierzyli, gdyby nie maleńkie „ale“, o którem p. Gąsiorowski w swoim galopie zapomniał. Otóż p. Wosiński nie zna wcale francuzkiego języka, sierżant Flagelot—polskiego, tak, że komenda kapitana jest mimiczną, a tu odrazu wystosowano do komendanta Częstochowy pismo odręczne... Nie mówimy już o tem, że oficerowi bez wyraźnego rozkazu rzucać się na twierdzę nie wolno; że garstka ludzi, któraby się podjęła zdobywania takiej twierdzy, chociażby jak „Jasna Góra“, musiałaby się składać albo z waryatów, albo z pijaków; że za samowolne podpisywanie cesarza taki służbista, jak pułkownik Deschamps, nie dziękowałby z pewnością. Lecz chcielibyśmy i to bardzo, aby autor „Huraganu“ łaskawie nam wytłómaczyć raczył, kto pomyślane przez niego pismo odręczne pisał, skoro na 103 stronicy tomu pierwszego czytamy: „Wosiński z zadowoleniem przyjął dowództwo kompanii, chociaż go i lęk zdjął równocześnie, w jaki sposób będzie mógł przewodzić oddziałowi Francuzów, nie znając ani komendy francuzkiej, ani ich języka“ — a na str. 111:

„kapitan uniesiony gniewem, zapomniał, że sierżant nie rozumie po polsku“.

Jest to szczegół, ale szczegół charakterystyczny... Takich miejsc w książce p. Gąsiorowskiego jest więcej, jak np. zniszczenie miny w Saragossie, i t. d. Wróćmy jednak do bohatera powieści. Po wyzdrowieniu, Gotartowski wstąpił do „szwoleżerów“, był pod Somo-Sierrą, walczył jak lew, wyszedł cało z wąwozu, koń go jednak poniósł a wtedy dostał się, jako jeniec, w ręce Hiszpanów, którzy byliby go stanowczo zamordowali, gdyby nie to, że Floryan w swoim czasie w Bajonnie, wyświadczył przysługę i postąpił szlachetnie z ówczesnym kapitanem a obecnym wodzem Saragossy Palafoxem, teraz zaś ten spłacił mu dług wdzięczności i ocalił go od niechybnej śmierci.

Tutaj córka jednego z przywódców hiszpańskich, Boggiera, piękna Dolores, niewiadomo, w jaki sposób, poznała Gotartowskiego, zakochała się w nim, ukrywa go gdzieś w podziemnych komnatach a Floryan, mniemając, że „tamtej“ już niema, nie marząc nawet o tem, że jego Zośka przywędrowała tu za nim, że ona znajduje się z Żubrową w obozie oblegających, chce po skończonej wojnie poślubić piękną Dolores, nie dla swego, lecz dla jej szczęścia. Saragossa się broni. Głód, straszna zaraza i kule francuzkich armat, sieją wokół śmierć i zniszczenie; miasto zamienia się w jeden wielki cmentarz, ludzie w szkielety—a Saragossa się broni, chce wytrwać do ostatka. Lecz gdy „Palafoxa“ zabrakło, kiedy ten dzielny i wielki wódz hiszpański, złożony ciężką niemocą, musiał pozostać tylko biernym świadkiem smutnych walk i dni, kiedy położenie miasta staje się wciąż rozpaczliwszem—na jednem z posiedzeń „chunty“ padły z ust Solanilly słowa: „Musimy się poddać!“ „Na słowa te Boggiero posiniał, oczy mu

krwią nabiegły. „Milcz, zdrajco!“—krzyknął z wściekłością, sięgając po szpadę, a wtedy Solanilla wobec „chunty“ całej, odpowiedział mu, że zdrajcą jest Boggiero, że jego córka, piękna Dolores, przechowuje francuzkiego szpiega. Boggiero się miota, chce się rzucić na Solanillę, lecz go powstrzymują, potem następuje szturm Francuzów, po którym Boggiero dowiaduje się, że Solanilla mówił prawdę: znajduje córkę swą w podziemnych komnatach przy boku Francuza, t. j. Gotartowskiego, którego ma za szpiega i rzuca się na nich, by córkę i jej kochanka zamordować własną ręką i w taki sposób pomścić swą mniemaną „hańbę“.

Tutaj ma miejsce bardzo jaskrawa i w pojęciu p. Gąsiorowskiego bardzo efektowna scena: Boggiero naciera coraz wścieklej, coraz gwałtowniej; Gotartowski broni się mężnie, lecz już chwiać się zaczyna, kiedy nagle, w samą porę, do pokoju wpada garstka Francuzów, a między nimi Zosia Dziewanowska, jako szeregowiec Michałko. Francuzi rzucają się na pomoc Floryanowi i obezwładniają Boggierę. Hiszpan jednak zdążył ciąć Gotartowskiego w ramię, dzięki temu jedynie, że ten spostrzegłszy Michałka, na widok tego rażącego podobieństwa do Zosi, stracił przytomność. Nad rannym Gotartowskim pochyliły się dwie kobiety, dwa kochające go serca: Zosia i Dolores; pierwsza dowiaduje się od Hiszpanki, że kocha Floryana, a kiedy na pytanie, czy i on ją kocha, otrzymuje twierdzącą odpowiedź, wraca do obozu a potem do kraju i wstępuje pod koniec do klasztoru Panien Wizytek w Warszawie. Floryan po pewnym czasie dowiaduje się o wszystkiem, a wtedy rzuca Dolores, której i tak nie oszukiwał i wraca również do kraju. Zosia, nie wiedząc o niczem a sądząc, że jest zdradzoną przez Floryana, przebyła już nowicyat, lecz w przeddzień

obłóczyn przyjaciel Gotartowskiego, porucznik Stadnicki, przy pomocy Żubrów, wykrada ją z klasztoru, wiezie do Gotartowic i... Numa wychodzi za Pompiliusza a p. Stadnicki oznajmieniem, że „kiążę Józef zjeżdża pojutrze do imć panny Dziewanowskiej w drużby się napraszać“ i słowami „psia mać“ kończy powieść. Oto główna intryga „Huraganu“, którego tło świadczy o... oczytaniu autora i obfituje w rozmaite „efektowne“ epizodyczne sceny i obrazy, których jednak p. Gąsiorowski, zdaje nam się, opatentowaćby nie mógł, bez narażania się na dość nieprzyjemne konsekwencye. Nie chcąc, aby nas źle zrozumiano, zaznaczamy z góry, że są to reminiscencye mimowolne i że za nie autora nie winimy, jak również nie winimy go za to, że nie dał ani jednego konsekwentnie przeprowadzonego, z siłą nakreślonego obrazu, prócz pewnej części oblężenia Saragossy, która napisana jest z niewątpliwym talentem. Typy, do powieści wprowadzone, albo nie są nimi wcale, a przedstawiają tylko pewien rys charakteru danej figury, jak Napoleon, książę Józef, marszałkowie, albo też przypominają niezłe, ładne, lecz ograne już melodye; nowego w całym „Huraganie“ nic znaleźć nie można. Wszystkie prawie postacie niehistoryczne i większość z fantazyi wysnutych scen i obrazów, naśladują w sposób bardzo dobitny trylogię Sienkiewicza, z którą jednak „Huraganu“ nawet porównać nie można. Tytuł książki jest bardzo odpowiedni, bo epoka napoleońska była rzeczywiście huraganem; gdziekolwiekbyś w onczas był, wszędzie niebo było pokryte strasznemi chmurami, wszędzie dochodziły ognie błyskawic i huki piorunów; w książce jednak p. Gąsiorowskiego nic z tego wszystkiego nie widać, nie słychać; słyszysz tylko opowiadanie o burzy, lecz o burzy dalekiej i dawno przebrzmiałej.

Paweł Adam również w powieści historycznej odtworzył epokę Napoleona I-go, a książkę swą zatytułował „Siła“. I rzeczywiście: siła bije z każdej strony tej książki, każdy obraz mówi nam o sile a wszyscy występujący w niej ludzie: mali i wielcy, kobiety i mężczyźni, panowie i słudzy, tylko sile służą, przed siłą się korzą—jednem słowem, mam przed sobą wypadki, ludzi i czas, któremu na imię „Siła“.

Narracya p. Gąsiorowskiego jest bardzo zajmująca, bardzo barwna, lecz jest narracyą tylko, gdy tymczasem w „Sile“ Adama nie autor do nas przemawia a przemawiają ludzie i obrazy i dlatego też „Huragan“ należy do rzędu tych książek, które przeczytać warto a „Siła“ jest powieścią, od której się oderwać nie można. Druga powieść historyczna p. t. „Kajetan Stuart“, jeszcze mniej się p. Gąsiorowskiemu udała; w książce niby opowiadającej dzieje „ostatniej obrony Częstochowy“, prócz samego faktu oblężenia Częstochowy przez Austryaków i autentyczności nazwiska komendanta, nic historycznego niema. Na wstępie kreśli autor notatkę ściśle historyczną o komendancie Częstochowy, Kajetanie Stuarcie, chwali jego zasługi i męztwo, a z toku powieści wywnioskować można, że p. Gąsiorowski jest zupełnie innego o nim zdania, że chwali go gołosłownie a przytacza fakty nie zawsze na korzyść Stuarta przemawiające. Fabuła powieści jest dość prosta: Kajetan Stuart, ówczesny komendant Częstochowy, służył ongi w legii włoskiej; tam poznał i pokochał piękną Wenecyankę, którą jednak pozostawił w jej ojczyźnie i na otrzymany rozkaz, ruszył do kraju. Beatrycza—tak się piękna Włoszka nazywała—przybyła jednak za nim i odnalazła go w Częstochowie. Powieść rozpoczyna się z chwilą przyjazdu hrabianki Beatryczy i towarzyszącego jej

lorda Stuarta, kuzyna komendanta, pod Częstochowę. W karczmie żydowskiej, na przedmieściu miasta, spotykają podróżni porucznika garnizonu częstochowskiego, Raczyńskiego, wmawiają w niego, że nie znają Stuarta, rozpytują o komendanta, niby chcąc się czemprędzej dostać do klasztoru, bo hrabianka ślubowała pielgrzymkę do obrazu Matki Boskiej, i t. d. Raczyński tłómaczy, że trzeba będzie koniecznie czekać do rana, bo do Częstochowy teraz już nikt dostać się nie może, komendant bowiem zaprowadził stan oblężenia, jest strasznym służbistą i dla nikogo z pewnością wyjątku nie zrobi. Przez czas tej dość krótkiej rozmowy, piękna Beatrycza przykuła do siebie Raczyńskiego i to jest założeniem i punktem oparcia całego przyszłego, że tak powiem, dramatu. Z opowiadania Raczyńskiego dowiadujemy się, że komendant, pomimo straży, wydostaje się w nocy z klasztoru, lustruje pełniące służbę patrole, że nigdy nie można być pewnym, czy za chwilę podpułkownik Stuart nie zjawi się tak prędko, jakby z pod ziemi wyrósł, i t. d. Jakby na potwierdzenie tych słów, do karczmy wpada komendant, strofuje Raczyńskiego i nagle.. na dźwięk głosu Beatryczy, na jej widok, surowa, poważna twarz komendanta, zmienia się do niepoznania: radosne zdziwienie zamienia się w radość a ta przechodzi w wielkie szczęście i wielką wdzięczność dła ukochanej Beatryczy.

Po dość krótkiej rozmowie, następuje bardzo naciągnięta i psychologicznie nieprawdopodobna scena: Beatrycza nie chce dłużej pozostać w brudnej żydowskiej karczmie i pragnie jaknajprędzej dostać się do Częstochowy, do mieszkania komendanta, lecz ten oświadcza, że przed ranem o wyruszeniu z karczmy nawet myśleć nie można, bo straż forteczna otrzymała najsurowszy rozkaz, aby ni-

kogo, absolutnie nikogo, po zamknięciu bram nie wpuszczono; że on sam ten rozkaz wydał, więc tembardziej go ominąć nie może. Dotąd wszystko w porządku, w tem jednak miejscu następuje coś zupełnie niemożliwego: Beatrycza tak jest dotkniętą słuszną odmową komendanta, że chce natychmiast odjechać. Czy to możliwe, aby kobieta, która powodowana miłością, ruszyła w czasie ogólnej zawieruchy, przy ówczesnych środkach lokomocyi, z Wenecyi do Częstochowy, dla tak błahej przyczyny teraz tego ukochanego porzucić chciała? Na to pytanie odpowiada nam autor w dalszym ciągu powieści: Beatrycza jest szpiegiem austryackim i tylko na rozkaz sztabu austryackiego przybyła do Częstochowy. W takim razie, wyżej cytowana scena jest jeszcze nieprawdopodobniejszą, bo Wenecyanka, znając Stuarta i wiedząc, że on kochając szalenie rzucił ją już raz dla obowiązku, może przypuszczać, że Stuart teraz od tego obowiązku nie odstąpi i zmusi ją tem do cofnięcia swego postanowienia wyjazdu, a więc do upokorzenia, bo jej przecież jako szpiegowi austryackiemu na dostaniu się do fortecy bardzo chyba zależało. Jeszcze mniej do prawdy zbliżonem jest karygodne wprost postępowanie podpułkownika: Stuart ulega prośbom Beatryczy, więc zgadza się na pewne odstępstwo od swego pojęcia o obowiązku komendanta, lecz miast małego uchybienia, t. j. przeprowadzenia swych gości przez bramę główną, za co przed nikim odpowiedzialnymby nie był, woli ich przeprowadzić przez tajne, tylko jemu i przeorowi klasztoru znane podziemne wejście i zdradzić tem samem bardzo ważną tajemnicę wojskową. Podpułkownik, powiedzmy, ufał swej narzeczonej i kuzynowi swemu sir Jakóbowi, lecz jakże mógł ten oficer dzielny, poważny zgodzić się na kaprys Beatryczy i odkryć owe przejście zwyczajnej dziewce służebnej, którą również przez ów korytarz przeprowadza. To

już nie jest nieprawdopodobnem, lecz wprost niemożliwem! Pozatem, czytelnik nie wie i nawet domyśleć się nie może i dlaczego kiedy Beatrycza została szpiegiem austryackim, a jeśli nim była, to co robiła w Wenecyi i dlaczego nie kochając Stuarta, tak się nim w swem mieście rodzinnem zajęła; wszak wówczas nie był komendantem fortecy i na nic jej się przydać nie mógł? A i ten sir Jakób Stuart, pełniący obowiązki szpiega, jest również wielkim znakiem zapytania. Zdaje nam się, że p. Gąsiorowski miast powieści, napisał bajkę na tle historycznem dla dorastającej młodzieży, przypuszczamy bowiem, że żaden człowiek w intrygę w „Kajetanie Stuarcie“ przeprowadzoną—nie uwierzy. Raczyński tak przylgnął do pięknego liczka Beatryczy, że przyłapawszy ją i sir Jakóba na rozrzucaniu proklamacyi generała austryackiego, woli zdradzić kraj niż ją i przysięga jej zachowanie tajemnicy. Porucznik wzruszony tem spotkaniem, przysięgą i całą tą sceną, bezmyślnie, po przeczytaniu, zabiera paczkę proklamacyi do swego mieszkania, rzuca je na podłogę a jedną, przez zapomnienie, pakuje do kieszeni swego munduru. W pokoju Raczyńskiego mieszkał porucznik Cybiński, obok jego łóżka znajdują paczkę przyniesionych przez Raczyńskiego proklamacyi, stawiają Cybińskiego przed sądem wojennym, biorą na tortury, skazują na rozstrzelanie, a Raczyński milczy.

Potem Raczyński przywiązany jak pies do Beatryczy i związany z nią wspólną zbrodnią, idzie na jej rozkaz do obozu Austryaków, zostaje ich szpiegiem i wydaje im podziemny korytarz, który Raczyński, śledząc w ową noc, podpułkownika, był przypadkowo odkrył. Pan Gąsiorowski jednak postanowił ukarać zbrodnie i dlatego knowania Włoszki zostają wykryte; Raczyński przekonawszy się, że

Beatrycza go nie kochała, że był tylko narzędziem w jej rękach, wymierza sobie sprawiedliwość i zabija ją, następnie ratuje Stuarta od niechybnej śmierci i tem się oczyszcza i rehabilituje; wreszcie odnajduje się mniemany nieboszczyk Cybiński, okazuje się bowiem, że miast Cybińskiego, rozstrzelano „stracha z wiechów w mundurze ułańskim“ a mniemanego zdrajcę, którego wina była wówczas dowiedzioną, puszczono na wolność po za mury Częstochowy. Wszystko to można między bajki włożyć, ale cóż robić, kiedy tak chce p. Gąsiorowski. Beatrycza a zwłaszcza jej postępowanie z sir Jakóbem, którego kazała związać i po zakneblowaniu ust, rzucić do lochu, znajdującego się obok podziemnego kuarytarza—trochę baronową Winter z „Trzech muszkieterów“ Dumasowskich przypomina a w każdym razie jest typem bardzo znanym i jak cała zresztą powieść, zaszczytu autorowi „Huraganu“ nie przynosi. Pan Gąsiorowski, wnosząc z poprzednich jego robót, jest człowiekiem bardzo zdolnym, lecz zdolności, które w zupełności starczyły do „Pigularza“, są zbyt małe do powieści historycznej, wymagającej od swego autora dużego talentu, wiedzy i rozmachu, a tych przymiotów autor „Huraganu“ i „Kajetana Stuarta“, zdaje się, nie posiada. Nie przesądzamy zresztą, stwierdzamy tylko, że p. Gąsiorowski dokonał na razie zbyt gwałtownego i szalonego skoku: z apteki na pole bitwy i... naraził swe utwory na dość przykre a nieuniknione następstwa tego ryzykownego a co najmniej nierozważnego czynu.

Jan Adolf Hertz

Z piśmiennictwa niemieckiego.

Gerhard Hauptmann: „Biedny Henryk“.

Bracia Grimmowie, twórcy filologii niemieckiej, badacze i odkrywcy licznych zabytków piśmienniczych, zbieracze klechd, baśni i legend różnych narodów, wydali między innemi w r. 1815 także i „Biednego Henryka“ Hartmanna von der Aue. Dzielny rycerz, Hartmann von der Aue, urodzony w 1170, brał udział w wyprawach krzyżowych i był trubadurem, tworzącym pieśni miłosne i poemata epickie, w których opiewa męztwo rycerzy i wierność kobiet. Dziełami jego są epopeje „Gregorius von Stein“, „Erec“ i „Iwein z lwem“ — te dwie ostatnie należą do legend z cyklu króla Artura; podstawą ich są francuzkie pieśni Chrietiena de Troyes. Napisał nadto na tle legendy ludu szwabskiego epos pod tytułem „Biedny Henryk“, w którym opowiada nam dzieje szlachetnego bojownika, wielkiego pana, uleczonego ze strasznej choroby trądu, poświęceniem niewinnej dziewicy. Wedle ówczesnych wierzeń bowiem, w tej wstrętnej niemocy tylko serdeczna, dobrowolnie dla cierpiącego wylana krew dziewicza, była jedynym skutecznym ratunkiem i lekiem.

Gerhard Hauptmann, chociaż na wskroś naturalistyczny pisarz, dał nam jednak w swej „Hanusi“ wytworną, pełną uczucia symbolistyczną sztukę a w „Dzwonie zatopionym“ ideowy dramat, wysnuty z poetycznej baśni ludowej—obecnie zaś opracował legendę Hartmanna von der Aue o „Biednym Henryku“. Wątek nowego dramatu i pieśni średniowiecznego minnesängera jest prawie jeden i ten

sam, tylko tegoczesny poeta opuścił zupełnie ową pełną grozy scenę w Salerno, którą krzyżowiec-bard tak dosadnie maluje—natomiast dodał niektóre nowe widownie, na jakich się akcya rozgrywa a to mianowicie dziką głuszę, w której Henryk ukrywa się przed ludzkiem okiem i pustelnię ojca Benedykta (trzeci i czwarty akt).

Pan możny, rycerz bez skazy i zmazy, palatyn Rzymskiego świętego państwa, powiernik i przyjaciel cesarza, zostaje dotknięty trądem. Nikt wprawdzie jeszcze nie wie o tem, lecz już głuche, złowróżbne krążą wieści wśród jego drużyny—a wskutek tego giermek przyboczny Ottokar, świetny okaz, podobny nieco do Sancho Pansy i Fallstafa—opuszcza pokryjomu swego pana. Henryk szuka schronienia na folwarku swego dzierżawcy, którego córkę Ottogebę, za dawniejszej tutaj bytności, zwał żartobliwie „małą żonką“. Z uwag i półsłówek Ottokara domyśla się ona, co grozi gościowi, któremu tak jest życzliwą, sromając się ciągle w jego obecności, słucha jednak chętnie opowiadań o jego dawniejszem życiu, gdy: „legał w marmurowych pięknych przybytkach, przy szemrzących studniach, gdzie złote rybki spływały w basenie, a jeśli kiedy chciał oszołomioną wodzić źrenicą, to ją zwracał w stronę, zkąd się przewonne kłębiły kadzidła—o, tam! w Azzahry czarowne ogrody. O takich rajach niegdyś lube dziecię chyba nie śniło! O rajach, gdzie ginąć z upajającej rozkoszy, gdzie bambus chwieje się w schroni samotnej, pod ciemnem sklepieniem cedrów, gdzie krzaki azalii, niby kwieciste ścielą się poduszki. Kwiecią błękitną krwi zda ci się morze, ach! całujące marmurowe stopnie; na niem się lekkie kołyszą gondole, lśniące od złota, klejnotów, purpury. Śpiew jakiś słyszysz — śpiewa niewolnica — i w tem jest tęskne, smętne rozkwiecenie, nad cyprysową schyla się cy-

sterną i ze zdroju czerpie srebrzystemi wiadry“... (Kasprowicza przekład).

Hrabia rozporządza swym majątkiem, robi testament, który wręcza wiernemu słudze, Hartmanowi. Przed nim też, nie mogąc dłużej tłumić w sobie przygnębiających, bolesnych myśli, wybucha żalem i skargą namiętną na swą dolę straszną, zdradzając się, że na nim widnieją ślady „piętna z Aleppo“. On, ten Henryk von der Aue, który się mył cały trzy razy dziennie, który zdmuchiwał każdy pyłek z swego rękawa, ten książę i pan i mąż i elegant jest teraz okryty wrzodami Hioba od stóp do głów!“—a ratunku dlań niema nigdzie na ziemi, ni w niebie! Ostatnie rozpaczliwe słowa usłyszała Ottogeba i rzucając się palatynowi do nóg, woła z przejęciem: „Będziesz ocalonym!“ Opowiadano jej bowiem, że w dalekiem Salerno żyje lekarz, uzdrawiający łazarzów dotkniętych tą bezlitosną słabością—uzdrawia ich krwią wytoczoną z serca czystej dziewicy, dobrowolnie oddającej się pod jego nóż. Otóż ona postanawia poświęcić swe młode życie dla dobra Henryka. Ten tymczasem porzuca gościnny dach wiernego wasala i obozuje samotny w ciemnym borze, chce umrzeć i tam też kopie sobie grób. Dwukrotnie nachodzi go w owem ukryciu Ottogeba i błaga, by wrócił do świata i nie gardził jej pomocą, ale on nie daje się skusić i odpędza ją od siebie ostremi słowy i kamieniami nawet. Ona jednakże uporczywie trzyma się tej myśli, że jej przeznaczeniem jest uzdrowić Henryka i że dlatego też porzuci on kiedyś swą jaskinię i zgodzi się na jej ofiarę. Tymczasem pobożnemi ćwiczeniami, postem i modlitwą, przysposabia się w pustelni ojca Benedykta do tego poświęcenia. Zniknęła rezygnacya, pierzchła tęsknota za śmiercią — a natomiast hrabiego opanowuje namiętna żądza życia, pragnienie ule-

czenia ich za jakąkolwiek cenę, gorąca chęć życia i wyzdrowienia. W tym celu zjawia się u pustelnika i błaga pobożnego męża o wstawiennictwo się za nim do Pana słowami pełnemi rozpaczliwej trwogi i buntu — a zarazem i głębokiego kajania się.

„Chcę wyzdrowieć, mnichu! chcę wyzdrowieć! Ulecz mnie! Uwolnij mą krew od okropnego przekleństwa! Zanurzę cię w złocie aż po szyję—jestem bogaty—oczyść mię! Nakaż milczenie głosowi wyjącemu: plugawy, plugawy! dzień i noc w mem uchu! Jak garść piasku rzucę ci całe me bogactwo, wszystkie me zamki i miasta! Mów z Bogiem Ojcem, twym Panem. Powiedz, że dosyć już mnie biczował, poniżał i dręczył. Dosyć dał mi uczuć, jakim jest. Już nic nie znajdzie we mnie do zniszczenia. Powiedz Mu to, mnichu! Powiedz Mu, żem wyczerpany, zniszczony, że nadgniła ma powłoka, że nawet pies mną wzgardzi... Bóg, nasz Pan, jest wielki! potężny! wielki! Uwielbiam Go! uwielbiam Go! Oprócz Niego, nic nie istnieje. I ja jestem niczem—lecz chcę żyć! żyć!“...

Ottogeba, o której sądził, że umarła, zjawia się i biorąc go za rękę, wyprowadza z sobą w daleką drogę, tam, gdzie wypełni się jej posłannictwo na ziemi. Nareszcie wraca z dalekiej wędrówki jaśniejący urodą i zdrowiem Henryk von der Aue i wynosi na tron książęcy Ottogebę — gdyż Bóg, jak u Izaaka, tak i u niej uznał chęć ofiary za jej spełnienie.

Utwór powyższy, chociaż podzielony na akty, nie jest jednak dramatem w ścisłem tego słowa znaczeniu — sam autor był widocznie tego zdania, gdyż nie nazwał go dramatem, ani nawet sztuką, lecz tylko niemieckiem podaniem—sagą. Praca ta, pełna głębokiego uczucia, cichej serdeczności, obfitująca we wspaniałe porównania i obrazy

poetyczne, czaruje urokiem słowa — słowa potężniejącego niekiedy od uroczystości hymnów biblijnych—większe może jeszcze wrażenie robi czytana w skupieniu, aniżeli widziana na deskach teatralnych. Poeta bowiem, jakby umyślnie unika wszystkich jaskrawszych efektów scenicznych, niekiedy może z artystyczną szkodą dla całości i jednolitości swego dzieła—wyjątek jedyny stanowi tu chyba końcowa scena aktu drugiego, gdzie Ottogeba rzuca się Henrykowi do nóg z okrzykiem: „Musisz być ocalonym!“ Żałować należy, że brak sceny u lekarza w Salerno—gdyż ona jest właściwie najważniejszym momentem dramatu i osią całego dzieła—również, że o tem, jak Ottogeba odszukała Henryka w lesie i jak tenże odkrył pierwsze oznaki trądu—dowiadujemy się tylko z opowiadania. Wogóle bohater mówi pięknie, ale wiele — natomiast mało działa, jest raczej oratorem, aniżeli człowiekiem czynu; nadto brak mu silnej woli, dążenia do jakiegoś wyższego celu, jakiejś wznioślejszej myśli, dla którejby się poświęcał—chce tylko wyzdrowieć, a to zamało dla bohatera dramatu i nie wystarcza do uczynienia zeń tragicznej postaci.

Bardziej udałą kreacyą jest już owo dziewczę, chcące się dobrowolnie poddać najsroższym katuszom, by ocalić życie ludzkie, skazane inaczej na powolne męki okropnego konania.

Mimo tych usterek, „Biedny Henryk“ jest nader udałem dziełem wielkiego mistrza-poety, umiejącego czuć głęboko i myślą dalekie obejmować horyzonty, u którego słowa zamieniają się w brylanty istne, ciskające cudne światło naokół.

B. M.

MOZAIKA.

Moda i wiedza naukowa.

Od dawien dawna wiadomo, że jeśli dwie różne barwy znajdują się na jednej i tej samej przestrzeni — czy to na płótnie, czy na materyi—zazwyczaj nawzajem się dopełniają. Naturalnie, że dzieje się to zazwyczaj w sposób jedynie odpowiednim kolorom właściwy; jeśli np. połączymy kolor biały z szarym, nie wywołuje to żadnego efektu. Za to kolory: fioletowy z żółtym, różowy z zielonym, albo biały z ponsowym—jakże pięknie się wzajem łączą i jak barwnie odbijają jeden od drugiego! Jasne tło na płótnie zawsze bardziej ożywia rzuconą na nią ciemniejszą nawet już barwę. Kilka ciemnych przedmiotów przeciwnie, starają się nawzajem zaćmić; wreszcie bywają wypadki, kiedy dwa różne kolory szkodzą sobie i kłócą się obok siebie, nad czem fizyka szeroko się rozwodzi.

Kobieta — zdaje się — posiada pod względem wyboru barw, instynktownie największą tajemnicę. Wiedza kusiła się często nad rozwiązaniem zagadki harmonijnego łączenia kolorów, ale najczęściej wyręcza ją w tem płeć piękna i to podobno już od czasów Ewy. Umiejętnie zastosowany kolor w toalecie, upiększa brzydszą nawet kobietę; forma zaś i fason powinny uwydatnić kształty. Z tego powodu zaczyna wiedza naukowa badać wyroki mody, albo raczej nauka przyrodnicza pragnie wykształcić niektóre podstawy mody.

Na dworze rzymskim, jeszcze w czasach starożytnych, cesarze otaczali się estetykami, obowiązkiem których było prostować gust; byli to specyaliści w swoim rodzaju, eks-

perci przedniego smaku tak w urządzaniu apartamentów, jak i w wyborze strojów. Poeta Petroniusz, z powodu swego subtelnego gustu, otrzymał na dworze przydomek „arbiter elengantiae“. Bez jego zdania, nie odbył się żaden festyn; damy radziły się go, zanim postanowiły strój na wielki bal, nawet młode panienki, po raz pierwszy w świat wstępujące, otrzymywały od Petroniusza instrukcye co do najgustowniejszego stroju.

W obecnych czasach zajmują się chemicy i fizyologowie zasadami mody; śledzą dobór kolorów i starają się odgadnąć, na czem polega harmonia i stosunek barw. I ktoby uwierzył, że w najpierwszych laboratoryach chemicznych badacze procesów przyrody, którzy połowę życia przepędzają w sąsiedztwie retort i flaszek, mogą właśnie wyrokować o „modzie“. Nie wyglądałoby to bynajmniej śmiesznie, gdyby pierwszego lepszego dnia wyczytano obwieszczenie, że wielcy krawcy, krawcowe, modystki w Paryżu, wzywają dyplomowanych chemików i fizyologów na narady o mających się wprowadzić świeżych modach. Wogóle starano się już dawno przedstawiać odbiorcom sukień, ubiorów lub kapeluszy, zaświadczenie i zalety danego materyału przez uczonych przyrodników. Najwięksi badacze przyrody są zdania, że ich wynalazki i odkrycia powinny mieć na celu nietylko artykuły spożywcze, ale i przedmioty odzieży, strojów lub przedmioty do zabawy służące.

Znakomity i głośny Berthelot, opowiada w jednym artykule jeszcze w r. 1889, że kolega jego Michel-Eugène Chevreul, mający 103 lata wieku, już w swoich latach młodzieńczych dowodził, iż chemicy powinni bezwarunkowo stanowić o barwach w modzie. Jako dowód cytuje Berthelot list, niegdyś do niego przez Chevreula napisany

a w którym większość zdań właśnie omawia powyższe wyroki, szczególniej zaś zajmują się kapeluszami damskiemi. Czarny kapelusz z białemi, różowemi lub czerwonemi piórami, czy też kwiatkami — przystoi blondynce. Brunetce nie jest w nim źle, ale nie wywołuje pożądanego efektu. Dama o czarnych włosach powinna tylko nosić kapelusze zdobne w barwy żółte, albo palia; twarz zanadto biała może najmniej cieszyć się odpowiedniem doborem kolorów; twarz z kolorami może nosić wszystkie niemal barwy. Brunetka ma wogóle wszelkie szanse przyjazne; przedewszystkiem jest długo młoda a następnie wolno jej stroić się w bawy mieszane, np. w kolor niebieski z żółtym, który ją odświeża i czyni powabną. Twarz z rumieńcami może stosować do swojej toalety barwę zieloną we wszystkich jej odcieniach, co tworzy doskonałą karnacyę. Bladej cerze nie przystoi kolor zielony; lecz jeśli chciałaby nosić tejże barwy kapelusz, niechaj tak ufryzuje głowę, aby z pod kapelusza widać było najprzód włosy a potem dopiero lica. Kolor fioletowy i pokrewne temuż: lila, heliotrop, bez—podnoszą wdzięki rumianej brunetki; wszakże brunetka o cerze ciemnej, broń Boże, aby nosiła wymienione tu kolory. Wreszcie, obok zalecanych długich przechadzek i najnaturalniejszych kosmetyków — czystej, zimnej wody, powinna kobieta przedewszystkiem starać się nie psuć sobie krwi i nie używać fałszywych kosmetyków. Wszelkie środki sztuczne czynią ją szybko starszą; trzeba unikać tego, jakoteż i złych barw w toalecie.

W wielkich domach zazwyczaj decyduje doktór, czego używać a czego nie wolno używać, starając się przytem łączyć hygienę z elegancyą.